

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

**Tylko ludzie
opętani
demonem seksu
widzą go
wszędzie**

str. 8-9



Punki o sobie

str. 12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

Kammena

NR 10 (803)

6-19 maja 1984

CENA 10 ZŁ

DOJŚĆ DO BERLINA!

Mieczysław Wieliczko

II WOJNA światowa jest jedy-
nym w swoim rodzaju wyda-
rzeniem powszechnodziejowym,
jeżeli chodzi o związek historii
naszego narodu i państwa z dziejami
ludzkości. Nigdy, do 1 września 1939
roku, owe dzieje w swym głównym
nurcie nie „potoczyły się” poprzez zie-
mie nad Wisłą... To określa aspekt
międzynarodowy, i jednocześnie we-
wnętrzny — polski, tej ważkiej kate-
gorii w procesie dziejowym. Jaka jest
II wojna. Jej zakończenie w Europie
9 maja 1945 roku przez bezwarunkową
kapitulację III Rzeszy wypadło w mo-
mencie, gdy nad gruzami Berlina wiatr
rozwił, obok czerwonych, radzieckich,
także biało-czerwone, polskie barwy
narodowe. Dokumentowało to udział
Polaków w zwycięstwie, ale przede
wszystkim stanowiło spełnienie celu
wszystkich zbrojnych Polaków tych
lat — dojść tu, dojść do Berlina!

Przesłanki ideowe, a nade wszystko
polityczne, procesów, które doprowadzi-
ły do wybuchu, określiły charakter,
przebieg oraz skutki II wojny, warte
są przypomnienia w rocznicę jej za-
kończenia dlatego, że współczesna sy-
tuacja międzynarodowa pełna napięć
w wielu regionach świata, zwraca uwa-
gę na doświadczenia ludzkości wynika-
jące z II wojny. Pośród tych doświad-
czeń Europa stanowi zasadniczą część,
zaś sprawy polskie, nie tylko u nas,
wzbudzają szczególne zainteresowanie.

III Rzesza wkroczyła na drogę agres-
ji i podbojów w wyniku odrodzenia się
militaryzmu i w efekcie zwycięstwa
faszyzmu. Brak skutecznego między-
narodowego przeciwdziałania rozzu-
chwał Niemcy, które korzystając z
polityki ustępstw, wysuwały w stosun-
ku do krajów mających być przedmio-
tem agresji coraz to nowe żądania.
Naciski, groźba, dywersja Niemcy

do 1 września 1939 roku powiększyły
terytorium o przeszło 30 proc. i zmon-
towały blok państw pod hasłami anty-
komunizmu, ze strategicznym celem
zniszczenia Związku Radzieckiego.

Na drodze do realizacji tego propa-
gandowego celu znalazła się Polska...
Państwo niepodległe od ledwie 20 lat,
scalające trójzaborowy podział, pań-
stwo, w którym niedorozwój formacji
społeczno-ekonomicznej rodził wiele
trudności wewnętrznych, a ich następ-
stwem był brak stabilizacji politycznej.
Krótkie w sumie okresy pomyślnej ko-
niunktury gospodarczej i śmiałe ini-
cjatywy inwestycyjne nie mogły wy-
starczyć dla należytego przygotowania
kraju do wojny obronnej. Niekor-
zystne położenie strategiczno-poli-
tyczne Polski uległo po zaborach
niemieckich pogorszeniu, bowiem
osiągnięcie przez agresora długości

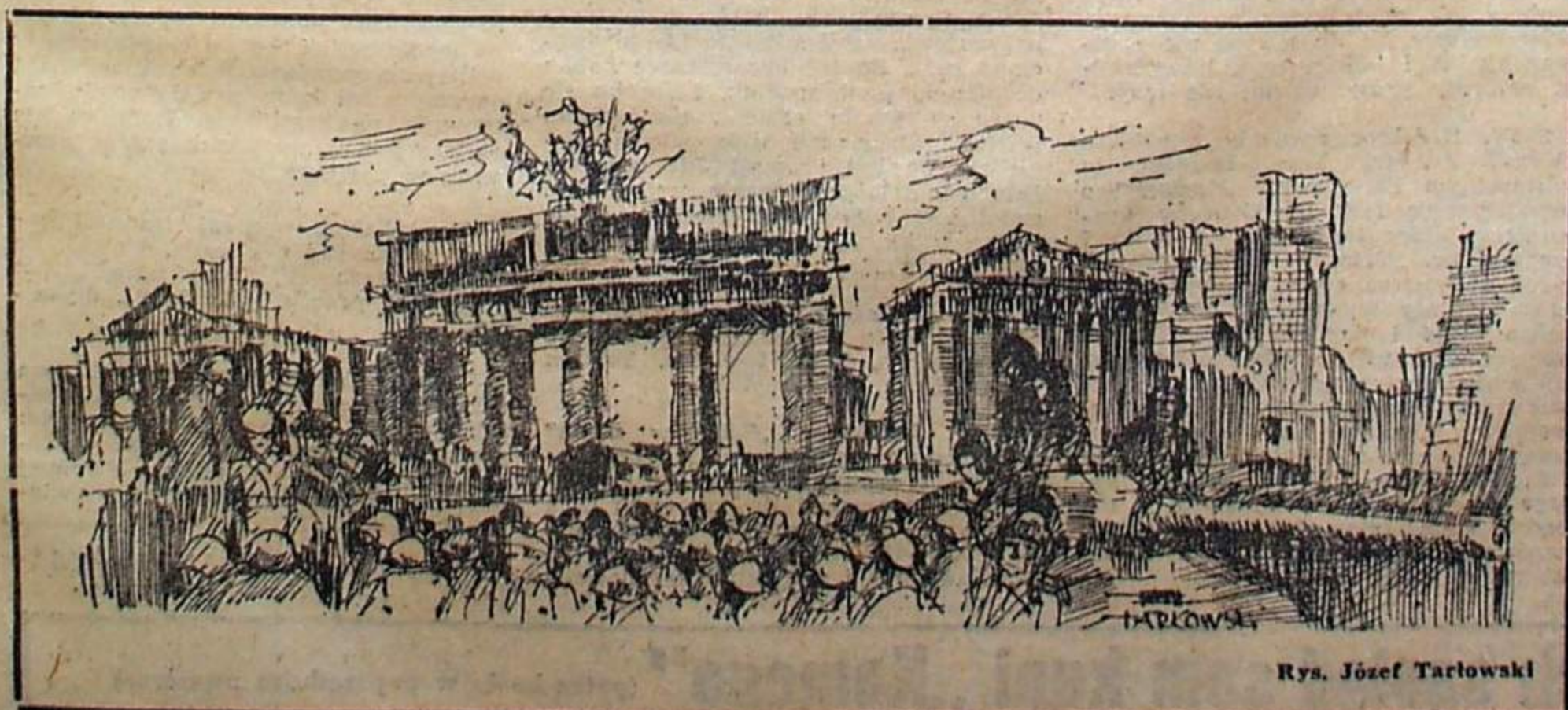
Dokończenie na str. 8-9

**Ani
z marmuru
ani
z żelaza...**

NAZYWAM się Józef Graniczka.
Mam 56 lat. Zaczęłam pracować
w czternastym roku ży-
cia. Jeszcze za okupacji. Zmu-
siła mnie do tego sytuacja panująca
w domu. Ojciec zmarł, była nas liczna
rodzina, wojna. Ciągłe brakowało pie-
niędzy. Trzeba było się gdzieś zace-
pić. Mój start w dorosłe życie rozpo-
czął się od fabryki maszyn rolniczych.
Po wyzwoleniu, nie mając żadnego za-
wodu, trafiłem do lubelskiej huty
szkła. Potem, do 1949 roku, pracow-
łem w zakładach mięsnych. Dwa lata
wojska. Zamierzałem wrócić do „węd-
lin”, a trafiłem do Fabryki Samocho-
dów Ciężarowych. Namówił mnie do
tego starszy brat. On tam pracował
już wcześniej.

Rok 1951 — to był dobry rok dla
młodzieży. Budził nadzieje na przy-
szłość. Powstawał w Lublinie duży za-
kład przemysłowy. Fabryka samocho-
dów. Mówiło się o tym głośno i z en-
tuzjazmem. Młodzi chłopcy, tacy jak
ja, tuż po wojsku, chcieli się jakoś do-
robić, stanąć na własnych nogach.
Miałem dziewczynę, planowaliśmy ślub,
praca była więc niezbędna. Poza tym
miałem we krwi głód roboty. Zawsze,
odkąd sięgnę pamięcią w domu była
prawdziwa nędza. Przed wojną ojciec
nigdy nie miał stałego miejsca pracy.
Co kilka dni chodził do pośrednictwa
i pytał. Jak dostał w tygodniu dzień
albo dwa jakiejś dorywczej roboty, bo
gdzieś trzeba było zrobić kawalek szo-
sy, rodzina przeżywała radosne chwile.
O pracę było ciężko. Wiecznie mówiło
się, że jej nie ma. Kiedy zaczynałem
pracować w FSC, czułem, że, jak to
się mówi, „wygrałem los na loterii”.

Dokończenie na str. 9



Rys. Józef Tartowski

z notatnika

21 IV. Dziękuję serdecznie p. Tadeuszowi O. z Lublina (nazwiska nie podaję, bo nie wiem, czy by sobie tego życzył) za list i za uwagi na temat świątecznego numeru „Kamena”.

P. Tadeusz życzy nam, by wszystkie następne numery „Kamena” nie były gorsze od tego świątecznego, który „jest kapitalny”. Niemniej nasz Czytelnik ma pewną uwagę krytyczną: uważa, że szósta strona (z humorem ludowym) została zmarnowana. Zamieszczono dowcipy to „wice” z brodą, znane od lat w identycznej lub nieco zmienionej formie. „Dlaczego znalazły się one w „Kamenu” — pyta p. Tadeusz O. — i popsuły wyborcy 9 (802) numer, tego nie umiem sobie wytłumaczyć. Tu Pańska zasada (to do mnie), że każdy odpowiada za swój tekst, niez tego, nie wyjaśni...”

Ha! Cieszę się, że aż jedenaście stron „Kamena” (z dwunastu!) zyskało Pana uznanie! Przyznam się, że przy redagowaniu „Kamena” różne myśli przychodziły mi do głowy. Chciałoby się, by wszystkie egzemplarze zostały sprzedane, dlatego sięgamy do różnych tematów, nawet do ludowego humoru. Listy do redakcji wskazują, że Czytelnicy „Kamena” wywodzą się z wielu środowisk, trafiają do miast, miasteczek i wsi, na wyższe uczelnie i do szkół podstawowych. Po serialu o Bruce Lee zyskaliśmy (czy to dobrze czy źle?) bardzo młodych odbiorców. Jak tu wszystkim dogodzić? Kwadratura koła! Niektórzy zarzucają nam nawet, że coraz mniej szanujemy dawne tradycje pisma. Przedwojenna „Kamena” miała 300 egzemplarzy jednorazowego nakładu, obecna ma 10-20 tysięcy: w skali regionu staliśmy się pismem prawie masowym, a współczesna twórczość poetycka — cokolwiek by się o niej mówiło — raczej nie cieszy się zbyt dużą popularnością i sympatią. Aby się o tym przekonać, wystarczy zajrzeć do pierwszej lepszej księgarni!

Z drugiej strony czego dzisiaj pisma nie drukują, aby zmniejszyć zwroty! Podgoskie „Fakty” sięgnęły do „Żywotów pań swawolnych” Brantôme w przekładzie Boya. PIW wydał tę książkę w 1957 roku. Nakład 50 tysięcy egz. Ale kto tę książkę trzyma w ręku dzisiaj? Sam szperam w mojej bibliotece, mam pewną pozycję sprzed lat i myślę: drukować czy nie w odcinkach? Chwyci? Znajdzie sympatyków? Tygodnik „Veto” wziął na warsztat „Dewajtis”: Rodziewiczówna to „firma” sprawdzona, ale mimo to pismo odpowiednio powiesić reklamuje.

A może Pan, Panie Tadeuszu, ma jakiś pomysł?

Na razie chcemy przeprosić tych Czytelników, którzy zainteresowali się aerobikami. Mielśmy zamiar temat podjąć, ale okazało się, że nie tylko my wpadliśmy na ten pomysł. Aerobik raz na dwa tygodnie? Szal się skończy (tak jak wiele innych, podobnych), a my dalej będziemy pouczać i kończyliśmy więc (po dyskusjach w zespole) na rozgrzewce. A kto się bliżej w Lublinie aerobikami zainteresował, wie, gdzie trafić!

W poprzednim numerze znalazło się też kilka błędów drukarskich. W moim notatniku zmieniono nazwisko Giełżyński na Bielżyński, a w tekście Anny Bocian zostały przedstawione trzy wiersze druku, które niekwestionowały treści. Uważna lektura pozwała odnaleźć błędy. Ze swej strony przepaszam, ale korektorka to też człowiek...

22 IV. Jak się bardzo chce wygrać, to się zwykle przegrywa, ewentualnie remisuje, ale ów remis też jest przegraną!

Lublin nie okazał się miastem szczęśliwym dla naszych olimpijczyków (niedoszłych...) i za Ocean pojedają piłkarze z NRD. Moim skromnym zdaniem, los okazał się sprawiedliwy i pojedają lepsi. Wprawdzie mecze w Szczecinie i w Lublinie oglądałem tylko na ekranie telewizora, niemniej wydaje mi się, że tu i tam sędziowie darowali nam po jednym golem, to znaczy nie uznali goli prawidłowo strzelonych przez naszych przeciwników...

Nie ma powodu do rozpacz, zaoszczędzimy trochę dewiz, a nasi dzielni chłopcy niech się jeszcze uczą! Chyba polskie piłkarstwo po latach tłustych przeżywa lata chude. Jest to pewna prawidłowość, a taki Lubuski, Gadocha, Deyna czy Boniek nie rodzą się na kamieniu. Można powiedzieć, że Młynarczyk potrafił zastąpić Tomaszewskiego (piszę już nie na temat samych olimpijczyków, oczywiście), ale bramkarz to jeszcze nie wszystko, zresztą sam bramkarz meczu nie wygrywa, chociaż w uzyskaniu remisu pomóc może...

Martwi mnie tylko jedno: chyba Lublin długo nie będzie gospodarzem najważniejszego meczu piłkarskiego. Po prostu ów remis, remis-porażka, na lata utkwii w świadomości działaczy sportowych, niezależnie od tego, czy pojawiają się nowe nazwiska, czy też wszystko pozostanie po starym...

23 IV. Jerzy Urban udzielił wywiadu Jerzemu Kocowskiemu z „Głosu Szczecińskiego” (numer z 9 kwietnia). Dwadzieścia lat temu jeszcze w „Głosie” sekretarzędowałem, ale wówczas Kocowski w nim nie pracował, ale to dygresja...

Urban stwierdził tak: „rozmawiamy wprost o wadach obecnej propagandy. Sądzę, że nadmiernie została ona przyporządkowana funkcji wyrażania polityki. Chodzi mi o publikację, których rzeczywistym adresatem nie są szersze rzesze odbiorców, które ogłaszane są z innych motywów niż oddziaływanie na świadomość. Wynikają one z określonych zwyczajów, rytuałów, są prezentowane w imię zachowania stosownych proporcji tematycznych, nie służą definiowaniu polityki, rozkładaniu akcentów. Do sygnalizacji linii politycznej i innych wewnętrznych celów wystarczałaby, moim zdaniem, „Trybuna Ludu”, „Rzeczpospolita” i „Nowe Drogi” — a telewizja, w tym DTV, „Express Wieczorny”, a także „Polityka” nie powinny dźwigać czystego artykułowania linii partyjnej. Mówię cały czas rzeczy dość trudne do zrozumienia, bo podział na publikacje dla wyrażania polityki i dla ludzi nie jest uznawany...”

Jeśli „Polityka”, to co tu mówić o „Kamenu”? Można się z Jerzym Urbanem zgadzać lub nie (zwłaszcza gdy chodzi o DTV), ale dyskutować się powinno i to w dużo szerszym gronie. Moim skromnym zdaniem dawny model propagandy zupełnie nie odpowiada dzisiejszemu czasom. Pewne sformułowania tak się wskutek nadużywania słów wytarły, że do nikogo nie przemawiają. A i ludzie, czyli bezpośredni odbiorcy prasy, dzisiaj nie tacy!

26 IV. Redaktor naczelny tygodnika „Veto”, Andrzej Nałęcz-Jawecki, w kulturalnym liście prosi „Kamena” o popularyzację Tygodnia Ochrony Konsumenta, który trwać ma od 1 do 7 czerwca br. „Veto” w 17-ym (99-ym) nrze zamieszcza specjalną wywiastkę, którą „należy wyciąć, przechować do końca maja i nakleić w widocznym miejscu w sklepie, punkcie usługowym, zakładzie gastronomicznym i innych miejscach, gdzie obsługuje się konsumentów, klientów, nabywców, pasażerów, pacjentów, lokatorów, petentów itd., itd.”. Wywiastka zaś głosi, iż „załoga naszej placówki przez te 7 dni będzie szczególnie: uprzejma, zyczliwa, serdeczna, kulturalna, solidna wobec klientów”.

Osobiście nie bardzo wierzę w różnego rodzaju tygodnie, dni (a może nawet i miesiące...), ale sądzę, że przez tydzień rzeczywiście można być i uprzejmym i zyczliwym. Niemniej same inicjatywy tygodnika „Veto” i rzutkość red. Andrzeja Nałęcz-Jaweckiego bardzo mi imponują.

A właśnie pod datą 29 kwietnia ukazał się setny numer tego pisma, które szturmem zdobyło sobie duże grono czytelników. Moje gratulacje, ale zarazem i pytanie, „dlaczego niektóre (wydawałoby się) stałe pozycje zniknęły z łam tygodnika? Jakież Red. A. N.-J. wie chyba dobrze...”

27 IV. „Tygodnik Chełmski” (ceniony przeze mnie przez sam fakt, iż jest chełmski) zamieszcza interesujący tekst Witolda Grabosia pt. „Przebudzenie” (numer z 28 kwietnia). Otóż rada pracownicza włodawskiego garbarni uchwaliła wniosek o odwołaniu dyrektora Dariusza W. ze stanowiska. Argumentacja: dyrektor „swoją działalnością narusza przepisy prawa oraz nieprawidłową pracą powoduje, że przedsiębiorstwo nie osiąga zadowalających wyników gospodarczych” oraz że „swoim postępowaniem pogorszył stosunki międzyludzkie w zakładzie”.

Dyrektor odplaca się radzie pięknym za nadobne i występuje do ministra przemysłu chemicznego i lekiękiego z wnioskiem o zawieszenie działalności rady pracowniczej, zarzucając jej m. in. przekraczanie kompetencji i indolencję w sprawach reformy.

Na razie spór trwa i z tekstu nie wynika bynajmniej, że idzie ku ugodzie. A wszystko dzieje się w garbarni, a więc wzajemnie będzie sobie można zapewne jeszcze długo garbować skórę. I to jest bardzo polskie!

Tenże sam „Tygodnik” publikuje na pierwszej stronie wiersz bez tytułu p. Andrzeja Z. (nazwisko pomiję). Czytam: „Już bruk / tłustą kredą przejęty / i czerwien się zrywa w zachwycie / Wyjdź chłopie, robotniku moczarny / i wykrzyż z całej pięści / swoje dostojne: jestem...” I tak dalej. Chciałem nieśmiało przypomnieć, że Chełm był niegdyś (ale to już dawno, dawno temu!) uważany za p o d c h o r a z ó w k ę poetów. „Tłustą kredą przejęty” wykrzyżam teraz „z całej pięści” na maszynie marki „Optima”, że z takiej twórczości trudno będzie stworzyć nawet żłobek poetów!

A w „Radarze” (nr 17 z 26 kwietnia) interesująca rozmowa Adama Kowalskiego z redaktorem naczelnym „Twórczości Robotników”, b. murarzem i słynnym niegdyś przodownikiem pracy, Michałem Krajewskim:

„Wie pan, ja urodziłem się w Astrachaniu. Matka była Rosjanką, ojciec Polakiem, zesłańcem. Ojciec, umierając, życzył sobie wywiezienia mnie do Polski i oddania pod opiekę rodzinie ojca. Kiedy ojciec umierał na febrę, miałem 2 lata. Kiedy matka mogła spełnić życzenie ojca, miałem lat 6 i to był rok 1910. Jechałem z matką przez całą Rosję. Miesiąc jechałszy od Władywostoku do Małopolski, aż dotarliśmy do Radomyśla nad Sanem, gdzie mieszkała moja babka. [...] Matka przed wyjazdem do Rosji, bo ona była ze mną tylko 7 miesięcy, wymogła na wujach, że dadzą mi wykształcenie. Proszę pana, babka była biedna, wujowie sami mieli po 12-16 dzieci, to co?... Za 100 koron, które babka dostała od pani hrabiny, zacząłem się uczyć w szkole realnej. Skończyłem półtorej klasy, nie było więcej pieniędzy. To był dramat! Już wiedziałem, że dalej nie pójdę, osiągnąłem granicę. [...] Sniła mi się nauka, że siedzę w klasie, odrabiam lekcje, czytam książki...”

Filmowcy szukają tematów do kręcenia. Podaję adres: Warszawa, ul. Nowogrodzka 46/5, II piętro. Telefon 19-15-17!

28 IV. Dzisiejszy „Sztandar Ludu” zamieszcza listy skierowane przez Kolegium Przewodniczących Ogólnokrajowych Organizacji Związkowych oraz Federacji Zakładowych Organizacji Związkowych Pracowników Przemysłu Metalowego i Elektromaszynowego

„Metalowcy” (co za długa nazwa!) — pierwszy do premiera gen. Wojciecha Jaruzelskiego, drugi do wicepremiera Mieczysława F. Rakowskiego oraz publikuje stanowisko Komitetu Rady Ministrów do spraw Związków Zawodowych wobec opinii i postulatów związkowców w sprawie polityki cen.

Streszczać tych pozycji nie będę, ale lektura nasuwa jeden wniosek: edukacja ekonomiczna naszego społeczeństwa pozostawia wiele do życzenia...

„Sztandar” drukuje obok sprawozdanie z robotniczej debaty w Zamościu, które znakomicie koresponduje z tekstami, o których wyżej.

W woj. zamojskim w ub. r. wydajność pracy wzrosła o 8,9 proc., zaś płace o 22,4 proc. W I kwartale br. tempo wzrostu wydajności pracy wyraźnie osłabło i było niższe niż średnia krajowa (wynosiła 3,5 proc.), natomiast płace wzrosły o 21,3 proc. W marcu zanotowano nawet spadek wydajności, co nie przeszkodziło w zwiększeniu wypłat o 12,8 proc. Znamienne, że spadek wydajności pracy oficjalnie się planuje, planuje się również (przy tamtym spadku!) wzrost płac. W takim np. hrubieszowskim „Hakonle” liczby te wynoszą odpowiednio (autor sprawozdania nie pisze, o jaki okres chodzi — roku, czy kwartału?) 38,8 proc. i 51,1 proc.!

Oj, skomplikowana jest sytuacja społeczno-gospodarcza kraju!

A tu słyszę o innej historii. Otóż podobno niektórzy taksówkarze nie jeżdżą, ale wolą po paskarskich cenach sprzedawać swój przydział benzyny.

Piszę „podobno”, ale jeśli to rzeczywiście prawda? Superabsurd! Superkant!

29 IV. Zarząd Główny RSW „Prasa—Książka—Ruch”, czyli chlebodawca „Kamena”, nakazał nam spopularyzowanie „Tygodnika Robotniczego”, który od 1 marca br. stał się ogólnopolskim pismem samorządu pracowniczego. Tygodnik adresowany jest głównie do działaczy samorządu i załóg pracowniczych. Redakcja pragnie, by łamy pisma stały się miejscem szerokiej wymiany myśli i doświadczeń związanych z działalnością samorządu w przedsiębiorstwach. Tygodnik można kupić w kioskach „Ruch” bądź zaprenumerować na pocztę lub w listonoszy oraz w oddziałach RSW „P-K-R” do pierwszego każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Popularyzuję i dodaję, że pismo ma wiele ciekawych rubryk, które zainteresują szerszy ogół czytelników. Wśród nich takie jak: „Filatelistyka”, „Na działce”, „Robotka tygodnia”, „Sport”, „Na ekranie”, „Prawnik wyjaśnia”, „Krzyżówka”, a także ... „Dziewczyna z kalendarza”. Słowem, każdy znajdzie tu coś dla siebie i to za jedyne 10 złotych!

Czekamy teraz na odpowiednią reklamę „Kamena” w „Tygodniku Robotniczym”!

30 IV. W „Walce Młodych” (nr 18 z 29 kwietnia) uczniowie szkół wojsłupskiego dyskutują o tym „jak być sobą, jak się odnaleźć”. Danka (z ogólniaka) mówi: „Część młodzieży ostantycznie demonstruje swoją religijność. Noszą krzyże, różne znaczki... Ale jest to religijność pozorna i płytka. Chodzą na lekcje religii, bo im ksiądz kawaly polityczne opowiada. Potem przychodzą napompowani tą wielką do szkoły, zachowują się krzykliwie. Tych, co nie są tacy jak oni, głośnie nazywają „czerwonymi pajakami!”.

Wysłuchałem wczoraj transmitowanego przez radio kazania. Tesknę do telewizyjnych „Prostych pytań”. Ale ja jestem przecież czerwony... dinozaur...

Jutro dzień Pierwszego Maja. W tym roku „Kamena” — ciągle dwutygodnik — o to święto się nie zahaczyła: poprzedni numer ukazał się za wcześnie, ten zaś — za późno. Niemniej pozostają z proletariackim pozdrowieniem!

M. A. Jaworski

kamena 2

Tym razem niech sąsiad sam kupi „Kamena” (patrz hasło w poprzednim numerze)

Ciągle jeszcze żyję...

Marek Zwierz

BYLEM robotem. Dwa lata to trwało. A może więcej. Przystałem liczyć te zimy. Upływający czas stał się pojęciem rozmydlonym, niedostrzegalnym.

Zimy na budowach... Zimy na dworcach... Ręce przymarzające do żelaza... Tysiące drzazg... Nieogrzone poczekalnie... Zgorzkniali milicjanci... Wszyscy już mnie znali. Przeszli spisywać. A ja tak kocham ciepło!

Wreszcie musiałem się poddać. Musiałem stać się człowiekiem bez właściwości, INTELIGENTEM.

Dziś już nie leci za kołnierza. Mam swoje biurko, krzesło. Mam stertę papierów, które tu nazywają dokumentacją.

I JEST TAK BARDZO ZŁE!

Codziennie rano, kilka minut przed siódmą podpisuję listę (znak, że jeszcze żyję), biorę klucz, otwieram pokój. Jak automat. Otwieram okno, zapalam radio. Czytam gazetę. Jem śniadanie.

Przychodzi kierownik.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry.

Kilka uwag o pogodzie.

— Już pan się wciągnął? Trzeba przygotować tabelę ryczałtową na magistralę wodociągową. Wie pan, jak to zrobić?

— Dowiem się.

— Pani Marysia panu pomoże. To pilne.

* * *

A może trzeba tak jak one:

Przyjść rano o wpół do ósmej.

Można wypić kawkę. Przeczytać gazety.

Trzeba zadzwonić do mamy. Spytać się, czy Magda nie mogłaby przez kilka dni u niej pomieszkać. Spodobała jej się tam i nie chce chodzić do przedszkola.

Teraz telefon do tych piętro wyżej. Tam było lepiej. Wychodziłam kiedy chciałam, nie wpisywałam się do żadnej książki. Może pójść do nich, pogadać. Nieciekawa ta robota. Papierkowa. Niby pracownik samodzielny, a przecież... ama nie potrafię i nie mogę zrobić żadnego kroku.

Jeszcze telefon do Antka.

To cud, że go zastałam.

— No i co?

— ...

— Nie nic. Ja tylko tak.

Na budowie chyba ciekawiej.

A w domu tapeta się odkleja. Telefon nie działa. Madzia zsiusiała się w prawą nogawkę. Wczoraj nie zrobiła kupki. Może ona chora. I jeszcze tyle czasu siedzieć!...

* * *

A może to trzeba jeszcze inaczej:

Przyjść rano. Pospacerować trochę po pokoju. Zaczekać aż się trochę wywietrzy. Zamknąć okno. Zdjąć płaszcz. Nie można zapomnieć o wymyciu szklanki. Tak, dzień dobrze jest zacząć od herbatki. Potem można wyjąć kosmetyczkę, lusterko. Radość z zobaczenia własnej twarzy. Teraz trzeba wziąć grzebień i ciągle wpatrując się w lustro, powołać, z godnością, rozczesywać włosy. Tak, piękny jest ten ogromny kapelusz! Trzeba też brwi pociągnąć czarną kredką. Nie zapomnieć o ustach. Usta są bardzo ważne. Gdzie ta czerwona szminka?

Jeszcze dotknąć palcami głowy. Poczucie ją pod palcami. Przekonać się, że jest cała, zdrowa. To nie, że za lewym uchem brakuje kawałka kości. Nie każdy przecież przeżył Okwieć. Nie każdy przeżył dwie trepanacje.

A trzeba będzie zdecydować się na jeszcze jedną...

Trzeba by skończyć czytanie gazet. Można się obudzić bez telewizji. Tylko spokój... A co z mamą? Konieczność dowiedzieć się, co z nią? Gdy wychodziłam jeszcze żyła.

Po mnie nikogo już nie będzie...

Powymyślać teckę z napisem: „Do załatwienia”. Zarejestrować nowe dokumentacje.

— Dzień dobry, pani Mario — to kierownik.

Boże, żeby to wszystko już raz się skończyło!

* * *

A może jeszcze inaczej:

Rano z impetem otworzyć drzwi.

— Boże, jak tu zimno!

Rozłożyć trochę papierów na biurku. Póznoranna jest podstawa wszystkiego.

Dwie siostry, dwóch szwagrow. Trzeba ich woszyścić obdzwonić. Dowiedzieć się, co kto kupił? Co kto szuka? Dowiedzieć się, co z Dziubusiem? Czy będą dziś spać na dziancu? Czy ciocia załatwiła mi buty na lato? Boże, jaka już jestem zmęczona!

Jeszcze ta sierota boża. Nie sam nie załatwił. Stój nad nim ciepło. Przypomnij o wszystkim. I ja ślub z takim mam brat?!

[Ale kim ja bym rządziła?!

I jeszcze ten nowy!

Przedtem było lepiej. Nawet nie możemy pogadać o babskich sprawach. Z niego niemowa jakaś, czy co! Dobrze, że ten dyplom niedługo zrobi, to pójdzie sobie!

* * *

Pojechać na jakąś budowlę. Odetchnąć świeżym powietrzem. Jak one mogą siedzieć w takim zaduchu? Smród od tej pasty jest ogromny!

Więc jadę. Nie dziś, pojutrze. Przedtem muszę przejrzeć stos papierów. Podobno tam pokazane jest to wszystko, co tam robią. Nawet więcej. Na dwa lata naprzód dokładnie wiedzą, którego dnia będą kopać łać beton. Może nawet wiedzą, kiedy się zesra ten chłoporobotnikorolnik spod Białegostoku. Ciekawe, jak oni to liczą?

Podobno mają cudowne maszyny do liczenia! Podobno mądrzejsze od nas od ludzi! Więc czemu jest tak źle, czemu materiałów nie ma na czas? Czemu tylko ten spod Białegostoku sra na czas? Ale on nie wie o tej wspaniałej maszynie!



Rys. Mariusz Rybicki

Obejrzałem te papiery. Rano pojedę. Robi się coraz cieplej. Ja kocham ciepło. Pojadę w drugi koniec miasta. Dużo trawy. Czyste powietrze. Nie muszę wracać do czterech dusznych ścian...

* * *

Kilku facetów rozbiera dom. Ten dom ma być rozebrany przez naszą przedsiębiorstwo. Jest na trasie kolektora. Przeszkadza.

Ci faceci oczywiście u nas nie pracują. To były właściciele i kilku znajomych. Rozebrali prawie pół domu. Cegła nie jest zła, można z niej coś sbudować.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że właściciel dostał już odszkodowanie, mieszkanie w blokach.

To nieładnie zabierać coś, co się sprzedalo i za co się wzięło pieniądze!

A co będzie, jeśli któryś zechce spaść z dachu, połamać nogi?!

Albo złamie kark albo kilof wypadnie mu z ręki!

Na zajęciach zawsze mi powtarzali: pamiętajcie, to taki zawód, że w każdej chwili możecie spowiadać się u prokuratora.

A przecież to dla nas lepiej, że oni to rozbiorą. Taniej, ludzi nie trzeba, a kosztorys na te roboty jest... Nie, tak nie można!

Więc rozmowa z byłym właścicielem. Tak, on wie, że nie powinien. Ale naczelnika nie ma i nie ma kto wydać zezwolenia na składowanie cegły na jego własnym terenie.

Tak, pokaże zaraz dowód. On tu przecież mieszkał. Mogę go spisać, czemu nie.

— Pan na pewno zna tę panią z wywłaszczeń. Pan to załatwi. My przez dwa dni rozbierzemy. Śladu nie będzie.

Ciągnie gdzieś na tyły. Ogródkowane kawałki śmieci. Domki pobijane z desek. Na zachodzie — mówią w telewizji — tak wyglądają ostedła nędzarzy. U nas, widać, lepiej. Mieszkała w nich tacy, co mają normalne domy Murowane. Tu wpadają tylko na chwilę. Przewietrzyć się. Taki snobizm.

— O widzi pan, tu matka mieszkała. Sam jej zrobiłem. Z desek. Z cegieł.

Ciemno, ciasno. Stary piec. Tak jakby ten dym nie zamierzał nigdy stąd wyjść. Krećci w nosie. Uciekam ze środka. Może zwali mi się na głowę!

— Pan to załatwi z tą panią, prawda? Ja dam dwa tysiące pójdzicie na kawę. Dobra?

I co mu odpowiedzieć? Przydałoby się dwa pakiety. Byłbym za godzinę z powrotem. Niki by się nie dowiedział.

Wracamy przed rozebrany do połowy dom.

— No to co?

— Nie, kochany, nie z tego nie będzie. Odejdziecie stąd. Zostawicie tę cegłę w spokoju. Inaczej milicja tu będzie.

Nie wiem, skąd ta stanowczość we mnie... I czy mądrze postępuję?

To tylko ty mówisz: Dumna jestem z ciebie, że nie wzięłeś tych pieniędzy!

Odechodźmy od nich. Oglądamy budowę.

Ot takie rury betonowe. Niby nowe, a już popękane. Nie nadają się do użytku.

— A gdzie jest atest?

— Nie wiem. To jeszcze poprzednik załatwił. On odszedł z przedsiębiorstwa i taryfę teraz ma.

Na razie nie ma zamiaru wracać na państwowe.

Ludzi prawie nie widać. Kierowniczka zapewnia jednak, że przez te kilka miesięcy zrobili sporo.

— Pewnie, że są spóźnienia. Sam pan wie, jaka u nas gospodarka.

— Zeby odrobić zaległości, potrzeba ludzi. I szybkiej papierki załatwiać.

— O widzi pan, tam — pokazuje ręką — nie można iść odkrywka. Za dużo kabli. Trzeba tunelkę.

Już rozmawiałam z inspektorem nadzoru. Zgodzą się. To może nawet taniej wytniesz. Tylko musimy do nich wystąpić z pismem. Wie pan, że u nas bez pisma to nawet tyć nie można.

I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

— I to odwodnienie. Ten rurociąg inwestorski nie przejmuję wszystkiego.

Od Dyrekcji do gmachu PKWN

Aleksander Leszczyna-Glybowski

W MONUMENTALNYM gmachu obecnego Urzędu Wojewódzkiego i Miejskiego w Chełmie, od dnia 21 VII do 30 VII 1944 r. mieściła się siedziba Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego Pierwszego Rządu Polskiego Ludu Pracującego — jak głosi tablica wmurowana przy wejściu głównym tego budynku, popularnie zwanego „gmachem PKWN”.

Wkrótce po ogłoszeniu Manifestu Łąpcowego kilku członków Krajowej Rady Narodowej i PKWN udało się do Lublina, a po tygodniu przenieśli się tam wszyscy przedstawiciele władz centralnych.

Od 23 sierpnia 1944 r. do 1 października 1945 r. w „gmachu PKWN” znajdowała się Oficerska Szkoła Artylerii, która wyszkoliła 1356 oficerów...

Historyczny budynek mieścił się w najpiękniejszym osiedlu mieszkaniowym Chełma, tzw. kolejowym, budowanym przed wojną dla Okręgowej Dyrekcji Kolei Państwowych z Radomia. Decyzją wojewódzkiego konserwatora zabytków Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie z 24 kwietnia 1971 r., cały ten układ urbanistyczny i architektoniczny z gmachem Dyrekcji („gmachem PKWN”) uznano za zabytkowy, dokumentujący ciągłość najlepszych tradycji polskiej sztuki budowania.

Dzielnica Chełma — „Dyrekcja”, zrealizowana w latach 1927-1939 według projektu inż. Henryka Gay'a, powstała jako część większego zamierzenia urbanistycznego, opracowanego dla tego miasta przez architektów: Adama Kuncewicza i Adama Paprockiego. Było to jedno z największych założeń urbanistycznych dwudziestolecia międzywojennego, chwalebne się dużymi wartościami plastycznymi rozplanowania i walorami architektury.

Wzniesienie wielkiego kompleksu gmachów i domów mieszkalnych Dyrekcji Kolejowej w Chełmie, dokąd miała być przeniesiona ówczesna Dyrekcja z Radomia, mieszcząca się w 12 wynajętych lokalach, rozrzuconych po całym mieście, a nawet w Bydgoszczy — to pod względem znaczenia i wielkości trzecia inwestycja kolejowa, zrealizowana w okresie II Rzeczypospolitej, obok budowy magistrali Górny Śląsk — Gdynia i przebudowy warszawskiego węzła kolejowego. Jest to zarazem — poza Gdynią — jedyny przykład kompleksowego rozwiązania projektowego dzielnicy miejskiej w międzywojniu.

Owczesny rząd przewidywał pierwotnie przeniesienie Dyrekcji Kolejowej z Radomia do Lublina lub Chełma. Argumentami decydującymi za wyborem Chełma były m.in.: posiadanie przez ówczesnych terenów do budowy osiedla; przeczona polityka władz miejskich, przedstawiających gotowe plany terenów, na których szumiały jeszcze lany pszenicy, ale już — wprawdzie na papierze — poprzecinane ulicami, zdrzewione przyszłymi parkanami i skwerami.

Budowę Nowego Miasta (całkowicie skanalizowanego i zelektryfikowanego w przeciwieństwie do Starego Miasta Chełma) rozpoczęto 22 października 1928 r. na obszarze 50 ha pastwiska dawnego majątku państwowego — Starostwo Błonie, którego grunty od strony wschodniej sąsiadowały ze Starym Miastem i sięgały Góry Zamkowej (Katedralnej), otoczonej z dwóch stron parkierami (obecnie „XXX-lecia PRL”). Falistość terenu, na którym wybudowano osiedle, zapewniała całości wygląd bardzo malowniczy.

Gmach Dyrekcji zaprojektowano jako obiekt o kubaturze 62111 m sześć, dla 748 pracowników. Dzisiaj posiada on 351 pokoi oraz jedną salę posiedzeń o wysokości dwóch pięter. Cała budowla ma pięć kondygnacji, ma monumentalne schody i sylwetkę w kształcie litery „H”. Budynek stoi na osi obecnej Al. Świerzeńskiego, u której wylotu znajduje się dworzec kolejowy.

Projektowano ponadto wybudować ogółem 601 mieszkań o łącznej kubaturze 268 880 m sześć. W 34 domach wolno stojących, jedno- i dwurodzinnych typu willowego (5-pokojowych) z ogródkami oraz 121 domów o zabudowie zwartej: 2- i 3-kondygnacyjnych z mieszkaniami 2-, 3-, 4-pokojowymi o 10 różnych typach, jak również budynki socjalne (szkółki, ambulatorium, kasyno).

Wszystkie budynki utrzymano w jednolitym charakterze, właściwym dla atmosfery polskich miasteczek. Dzielnica została pomyślana jako zespół urbanistyczny miasta-ogrodu.

Koszt budowy szacowano na ok. 30 milionów złotych, a termin ukończenia całości lokowano w roku 1930.

Budowa ruszyła z miejsca w olbrzymim tempie i przy dużym zatrudnieniu, pod kierownictwem inż. Z. Mianowskiego.

W 1928 r. rozpoczęto budowę gmachu Dyrekcji i doprowadzono ją do I piętra oraz wybudowano w stanie surowym 54 domy mieszkalne. Niestety, po kilku miesiącach, podczas surowej zimy 1928/

1929 a. w pojedynczych budynkach powstały szerokie ryzy i skazy, począwszy od fundamentów, w tym również w gmachu Dyrekcji, którego mury w znacznym stopniu zostały później rozebrane i wzniesione od nowa.

Ostra kampania prasowa w tej sprawie przyczyniła się do powołania komisji Ministerstwa Komunikacji, a nawet dwóch komisji sejmowych o szerokiej uprawnień, które wyjaśniły przyczyny katastrofy i doprowadziły do skazania winnych. Minister komunikacji inż. A. Kühn na 43 posiedzeniu Sejmu stwierdził (wg Monitora Polskiego z 15 marca 1930 r.): „Rzeczoznawcy sądzą, że powstałe uszkodzenia są wynikiem nieukończenia dachów i niezabezpieczenia piwnic od działania mrozu... Z tego powodu zwolniłem kierownika robót, a kierownictwo budowy przeniosłem z Ministerstwa do Dyrekcji Radomskiej”. Zwolniono również dyrektora Departamentu Budowy i Utrzymania Ministerstwa Komunikacji oraz skierowano sprawę do prokuratury (później umorzona).

Zima 1928/1929 r. była rzeczywiście wyjątkowo mroźna, a podłoże kredowe wymagało szczególnego zabezpieczenia budynków, tj: ich przykrycia, zabicia otworów okiennych, ocieplenia, odwodnienia piwnic i otoczenia fundamentów. Firma budowlana została zobowiązana do wykonania tych prac i naprawienia szkód.

Z dniem 10 lipca 1929 r. powołano nowego naczelnika budowy, którym został inż. komunikacji Mikołaj Leszczyna-Glybowski, uprzednio pracujący w Dyrekcji Zarządu Kolei Górny Śląsk-Gdynia z siedzibą w Bydgoszczy. Był to człowiek doświadczony w kierowaniu wieloma skomplikowanymi budowlami (patrz: „Stolica” z 24 lipca 1933 r., artykuł A. Miszczyka „Historia Gmachu PKWN”). Leszczyna-Glybowski naprawił wspomniane uszkodzenia budynków i do roku 1931 wznosił 80 dalszych domów w stanie surowym. Zaawansowano znacznie budowę centralnego gmachu Dyrekcji.

O tej inwestycji „Ziemia Lubelska” z 11 XI 1930 r. pisała: „Dla zobrazowania, jak wielkie ilości materiałów zostały zużyte, wystarczy powiedzieć, że zużyta cegła wystarczałaby dla wyłożenia drogi 5 metrów szerokości od Warszawy do Chełma. Tak wielkiej ilości cegły i innych materiałów miejscowe cegielnie i składy dostarczyć nie były w stanie. Ze względu na krótkie okresy, w ciągu których materiały musiały być dostarczone prywatna firma budowlana „Budex” zmuszona była sprowadzać cegłę nawet z bardzo odległych dzielnic kraju. Dla wyładunku materiałów zbudowane zostały dwie bocznice kolejowe. Ilość podstawio-

Czy kolorami mówić, czy pisać... (2)

Małgorzata Kitowska

DZIALALNOŚĆ artystyczna Zenona Waśniewskiego była wieloraka. Swój pogląd na świat, swoje wyobrażenie o nim oblał w rozmaity kształt, realizował w różnym materiale.

Zajmował się poezją, prozą, dla „Kamieni” recenzował i tłumaczył. To przysporzyło mu chwały. Natomiast oryginalne utwory literackie, jakie wyszły spod jego pióra, mało są dzisiaj pamiętane i prawie nieznane. „A szkoda, są bowiem naprawdę ciekawe. Konstrukcja ich jest zupełnie prosta, ale każda strofa oczeka głębokim nurtem uczucia i piękna” — jak pisał Longin Jan Okoń, recenzując kilka wierszy Waśniewskiego. Wydrukowała niektóre z tych utworów „Kamena”: „60 stopni”, „Zawsze”, „Stacja”, „Zebra” (rocznik 1933, nr 4, 5, 6, 8-9). Wymienione, a ponadto: „Zaufek”, „W Chełmie”, „Sprawiedliwość”, dokumentującą wrażliwość Waśniewskiego na krzywdę społeczną, „mówią wyraźnie, że poeta stał duszą i sercem po stronie wyzyskiwanych” — pisał dalej Okoń. Znajdujemy także w niektórych utworach opisy przyrody. Większość to nastrojowe obrazki, klimatem zbliżone do zasnutej mgłą akwarelek. Przesłaniały mi piękny i smutny wiersz” — pisał Schulz w 1938 roku. Podobny ton znamionuje także tłumaczenie przez Waśniewskiego wiersze poetów niemieckich: Rilkego „Dzień jesienny”, Heyma „Wieczór”, Heinego „Do mojej matki”. Przetłumaczył Zenon Waśniewski też kilka utworów do

„górskiego” numeru „Kamieni” (nr 5-6 z 1937 roku): Conrada Ferdinanda Meyera „Odgłosy górskie słyszę”, „Biały szczyt”, Martina Greifa „Kosodrzwinię”. O tym ostatnim można przeczytać u Okonia: „sam przekład niewiele mówi. Gdy jednak porównujemy go z oryginałem niemieckim, wtedy dopiero widać, jak doskonale mistrz tłumaczył ten utwór”.

Rzadziej publikował Waśniewski swoje próby prozatorskie. „Kroki wśród nocny”, fragment zamieszczony w „Kamieniu” w roku 1933, to jedna z nielicznych. Natomiast w wielu numerach miesięcznika znajdowały się w rubryce „Noty” jego wypowiedzi o nowo wydanych książkach, utworach poetyckich, zjawiskach literackich (między innymi o współczesnej poezji niemieckiej), którą był żywo zainteresowany, tak że przygotowywał do wydania tomik z przekładami; realizację tego zamierzenia przerwała wojna.

Z zainteresowaniami literackimi przepływały się jego sympatie plastyczne i niejednokrotnie potrzeba wypowiedzenia się za pomocą form należnych tej dziedzinie brała górę. Sam zastanawiał się, pisząc:

Dziwigam pod pachę toczkę, paletę i stołek z płótnem.
Piękne widoki tutaj, dziwięm mnie, podciągając.
Zboże wita mnie kłosem, drzewa głowy skłaniają.
Wietrzyk tary łagodzi, szmer wody zrywa ciszę.
Ciepłe powietrze w górze słońce sobą kotłuje.
I nie wiem, co lepsze, czy przypaść do tej tołerni.
Czy kolorami mówić, czy pisać jak najwierniej...

To rozdwojenie, poszukiwanie własnego sposobu wyrażania, właściwego doznaniom artysty, potęgowała jeszcze w Waśniewskim praca nauczyciela. Tworzył zawsze trochę na jej uboczu, w czasie wolnym od innych zajęć, do których wypełniania był obowiązany przede wszystkim. Jak stwierdził Władysław Filipiak: „solidaryzował się ze sprawami czystej sztuki, ale nigdy nie poświęcił jej się całkowicie”. Pisał ze zrozumieniem sytuacji analogicznej do swojej Bruno Schulz: „z zainteresowaniem czytałem Wasze wynurzenia na temat akwareli i jej możliwości. Szkoda wielka, że nie możecie się w zupełności poświęcić malarstwu, przylączyć do jakiej grupy pejzażystów, zakopać się, gdzie nie ma nikogo obojętnego, gdzie zaszyje [...] w pejzaż i malować”; „współczuję z Waszym ciężkim losem, na który się nawet nie uskarżacie. Tyle mechanicznej, bezdusznej pracy dla kogoś, kto mógłby inne rzeczy robić — to wielka krzywda”.

Początkowo malował Waśniewski dla siebie. Były to głównie pejzaże, wykonywane przede wszystkim farbami wodnymi (akwarela, rzadziej gwasz) lub temperami, przedstawiające okolice, w których artysta mieszkał: widoki Chełma — „Panorama Chełma” (1928), „Widok z Żółtańca” (1929), fragmenty parków — na Podolu i lubelskiego. Podobną tematykę miały nieco rzadsze prace olejne — „Wierzyby” (1936) i „Rzeka” (z tegoż samego roku).

Uprawiał ponadto Zenon Waśniewski rysunek ołówkiem i kredką. Spośród zachowanych interesujący jest — choć nieco zbyt akademicki w charakterze — lawowany rysunek, ukazujący



cy pałac Tarnowskich w Świerżach, ujęty od strony południowo-wschodniej. O kilku pracach wykonanych tą techniką wspomina w liście z marca 1934 roku Schulz. Jest to podziękowanie za „ofiarowane szkice”. Ostatnim chronologicznie spośród istniejących dzisiaj rysunków Waśniewskiego jest widok z okna celi więziennej lubelskiego Zamku, gdzie osadzono artystę zaraz po aresztowaniu.

Częste są wśród prac Waśniewskiego portrety: własne, żony, znajomych. Były wykonywane głównie temperą lub pastelami. Różnią się od akwarel nasyceniem barw, które są tutaj bardziej słoneczne, soczyste, w przeciwieństwie do przytłumionych, jakby smutnych, ściszonych pejzaży akwarelowych. Szerza jest też skala kolorystyczna: od błękitów i zieleni akwarel przeszedł artysta do pełnej palety pasteli, przy

nych na bocznicę wagonów kolejowych przekraczała niekiedy 100 wagonów dziennie.

Liczba zatrudnionych robotników i rzemieślników wynosiła od 500 do 3 000 osób.

W r. 1931 wykonano w zaplanowanym terminie 31 budynków na pomieszczenie biur i mieszkań dla urzędników Wydziału Kontroli Dochodów (Okr. Dyr. KP w Radomiu), mieszczącego się w Bydgoszczy. W następnym roku porządkowano drogi dojazdowe oraz chodniki, dopiero wtedy, tj. 1 lipca 1932 r., został zainstalowany w Chełmie Wydział Kontrolerów z Dyrekcji Kolejowej z Radomia (siedem rodzin), natomiast 26 sierpnia — Wydział Kontroli Dochodów Radomskiej Dyrekcji Kolejowej, gdzie pracowało około 120 osób.

W związku z tym chełmskie „Zwierciadło” z 24 VII 1932 r. pisało: „106 rodzin może liczyć około 600 osób, czyli że Chełm powiększył się od razu o 2 proc. O 2 proc. wzrosną potrzeby mieszkańców miasta, o 2 proc. będzie potrzeba więcej produktów, obuwia itp. rzeczy materialnych. Jeżeli zaś idzie o potrzeby i wartości duchowe naszych przybyszów to nie przesadzimy, jeżeli obliczymy, że wyniosą one nie 2 proc., ale co najmniej z 10 proc. tych wartości i potrzeb duchowych, jakie ma Chełm, zważywszy na to, że do środowiska mieszanego o charakterze miasteczka wschodniego, składającego się w znacznej części z biedoty i ludzi mniej oświeconych, a przy tym często wrogich wszystkiemu, co polskie — przybysza z zachodniej części kraju, z dużego miasta (w stosunku do Chełma) 600 głów ludzi z klasy oświeconej, inteligentnej, a przypuszczać też można, że z pochodzenia 100-procentowych Polaków. Te 106 rodzin za waży silnie na charakterze narodowym i kulturalnym Chełma.

Zdobądźmy się tym bardziej na uczczenie tej niepowodzonej w dziejach Chełma jako miasta polskiego chwili. Zdobądźmy się na powitanie tej gromady zwykłych, ale niezwykle mających dla miasta znaczenie ludzi! Otwórzmy im na tę chwilę pierwszego z nami zetknięcia nasze serca, aby wiedzieli, że z Zachodu Polski przybyli nie na jakieś tam kresy „wschodnie”, ale do Polskiego zawsze Chełma”.

Osiedle kolejowe w Chełmie uważano za wzorowe osiedle urzędnicze. „Grube, solidne mury, widne, obszerne i wysokie pokoje, własne halle i balkony, łazienki, elektryczność, duże piwnice i spiżarnie oto charakterystyczne dodatnie cechy każdego niemal lokalu [...], jakie dla wielu urzędników kolejowych są przedmiotem niedoścignionych marzeń” — pisał o osiedlu ówczesny starosta chełmski Bronisław Bągiński („Przegląd Komunikacyjny” z marca 1931 r.).

W miarę narastania trudności finansowych w państwie, pojawiły się przeciw projektów zmian oszczędnościowych w zaprojektowanych budynkach. Dały się też słyszeć, wprawdzie jednostkowe, głosy krytyki, zarzucające rozrzutność i zbędny luksus w tym osiedlu.

Zastanawiano się, czy nie zmniejszyć liczby mieszkań 4- i 5-pokojowych, a zwiększyć — 2-3-pokojowych? Czy nie wydzielić ponadto kawalerek? W ten sposób można by, obliczano, powiększyć liczbę mieszkań o przeszło 100.



Fot. Waldemar Stępień

„Ziemia Lubelska” z 1 stycznia 1930 r. w artykule pt. „Luksusowe mieszkanie pracowników Radomskiej Dyrekcji Kolejowej” pisała dość ostro: „Jest rzeczą niedopuszczalną, aby w obecnych warunkach gospodarczych kraju, gdy kosztem funduszy państwowych winno być zaspokojenie tylko minimum potrzeb pracowników kolejowych, którym wystarczająby mieszkania 1-, 2-, 3-pokojowe, budować mieszkania 4-, 5-, 6- i 7-pokojowe (dla dyrektora Dyr. KP — przyp. aut.), a nawet domki willowe z ogródkami w ilości przewyższającej procent zatrudnionego kierownictwa w stosunku do ogółu zatrudnionych”.

Zdaniem „Ziemi Lubelskiej”, pracownicy nigdy nie będą mogli pokryć kosztów komornego, co w następstwie spowoduje dotowanie ze skarbu państwa. Tak wielkie uprzywilejowanie pewnej, bardzo nieznacznej, części pracowników państwowych nie ma najmniejszego uzasadnienia i może wywołać słuszną niezadowolenie wśród szerokich rzesz pracowników państwowych — oznajmiała gazeta.

Coraz trudniejsza sytuacja finansowa państwa, spowodowana kryzysem gospodarczym, doprowadziła początkowo do ograniczenia robót, a następnie do całkowitego ich wstrzymania. W 1933 r. naczelnik budowy Leszczyzna-Glybowski opuścił Chełm, obejmując stanowisko w Zarządzie Miejskim m. st. Warszawy. Licznie przybyłym do Chełma z różnych stron Polski robotnikom budowlanym wymówiono pracę. Wzrosły katastrofalnie liczby bezrobotnych w Chełmie i trudności finansowe miasta, które podjęło wyprzedzające inwestycje komunalne oraz budowę szkoły powszechnej przy „osiedlu kolejowym”. Długi Chełma zbliżyły się do 400 000 zł. („Wieczór Warszawski” z 4 kwietnia 1936 r.).

Smutno przedstawiały się nowe obszerne ulice z nie wykończonymi domami i gmachem Dyrekcji. 112 budynków zamurowanych na glucho na terenie otoczonym barierkami i budkami strażniczymi wyglądało ponuro i żałośnie.

W obronie inwestycji rozpoczęła się wszakże kampania prasowa. „Robotnik” z 11 marca 1936 r. pisał złośliwie: „Piękny akt erekcyjny, łączący budowę Dyrekcji z rozwojem Rzeczypospolitej i kolejnictwa na chwałę i pamiątkę, zawiera wiele nazwisk ówczesnych urzędników Ministerstwa Ko-

munikacji. Obecnie opowiadają, że budynki te mają być zamienione na Centralne Więzienie, do którego jednak szłoby się Aleją Marszałka Piłsudskiego, a stałoby ono na Placu Wolności [mowa o gmachu Dyrekcji — przyp. aut.] [...]. Sprawa chełmska jest ciemną plamą w jasnym obrazie naszego kolejnictwa”.

Artykuły prasowe w sprawie strat z powodu niszczących i nie eksploatowanych budynków spowodowały wizytę w Chełmie komisji ministerialnej z szefem resortu komunikacji płk. Urychem na czele. Ciekawostką jest, że trasę z Warszawy do Chełma i z powrotem komisja przebyła nową szybką torpedą, wykonaną przez zakłady w Chorzowie. Zastosowana po raz pierwszy właśnie w tej podróży, zdała ona doskonale egzamin sprawności.

Na podstawie raportu komisji zapadła decyzja Komitetu Ekonomicznego Ministrów o wykończeniu gmachów kolejowych w Chełmie i przeniesieniu tam w przyszłości dyrekcji PKP z Radomia. Przy tej okazji „Ekspress Poranny” z 25 kwietnia 1936 r. w artykule „Gmachy kolejowe w Chełmie będą wykończone” pisał: „Przeniesienie dyrekcji z Radomia będzie dotkliwym ciosem gospodarczym dla tego miasta, posiadającego kilka tysięcy bezrobotnych, wtedy gdy Chełm ma ich zaledwie około 200”.

Z powodu wybuchu wojny w 1939 r. przeniesienie Dyrekcji PKP do Chełma jednak nie nastąpiło.

Osiedle kolejowe niewiele ucierpiało podczas wojny obronnej 1939 r. W czasie okupacji hitlerowskiej gestapo zajęło okazały budynek Dyrekcji, gdzie umieszczono obóz przesiedleńców niemieckich z ZSRR oraz obóz jeniecko-koncentracyjny, Arbeitsamt i inne urzędy niemieckie.

Również w okresie walk o wyzwolenie ojczyzny osiedle szczęśliwie ocalało.

Po wojnie stało się piękną dzielnicą mieszkaniową Chełma, popularnie zwaną „Dyrekcją”, i jednym z najmłodszych kompleksów zabudkowych. Wzbogaciło się o wybudowany po wojnie, funkcjonalny i kipiący życiem kulturalnym, ładny gmach Wojewódzkiego Domu Kultury przy Al. Tysiąclecia.

czym używał najczęściej dwóch barw podstawowych: czerwieni i żółci.

Swoje prace malarskie próbował Waśniewski sprzedawać. Wysyłał je do pośrednika w sprzedaży obrazów, galicyjskiego handlarza Leszczyca, który urządzał wystawy w miejscowościach uzdrowiskowo-wypoczynkowych, najczęściej w Truskawcu. Zarówno tam, jak też w Drohobyczu, niektóre z nich oglądał Schulz: „widziałem u Leszczyca w Drohobyczu jeden Wasz gwiazd; taki ogród czy altana z jasnym dalekim pejzażem, przeświecającym przez bliskie drzewa, z kilku ludźmi i psem. Zaimponowała mi technika trudna i akurata. Świetlistość i czystość barw. Musicie jednak mieć satysfakcję z tej produkcji, z tego cichego mistrzostwa. Podobają mi się lepiej niż drzeworyty. Mówił mi Leszczyca, że sprzedał kilka obrazków i że mógłby sprzedać wszystkie, gdyby były trochę tańsze, bo te rzeczy podobają się ludziom”. Także w innym liście dzielił się z Waśniewskim wrażeniami: „w Truskawcu widziałem Wasze prace u Leszczyca. Bardzo mi się podobały. Te zielone masy parków, uroczyska zieleni prześwietlone lukami nieba, to interieur takie syte i zharmonizowane w kolorach. Zawsze myślałem sobie, że tempera — to szlachetniejsza technika niż olejna. To technika mniej realistyczna, chłodniejsza i wytworniejsza. Ale trudności też są bez porównania większe i niemożność mieszania i zlewania tonów, konieczność płaszczyznowego traktowania i rozjaśniania się po wyschnięciu. Za to kolory mają coś aksamitnie gobelinowego... Osiągnięcie prawdziwe mistrzostwo w tej dziedzinie”.

Osobny rozdział tej twórczości stanowi dorobek graficzny. Waśniewski zainteresował się tą dziedziną i jej możliwościami stosunkowo wcześnie. Początkowo jednak podejmował tylko sporadyczne próby operowania tą techniką. W latach trzydziestych zaś na dobre zaczął zajmować się linorytem. Pierwsza praca wykonana tym sposobem pochodzi z r. 1931: jest to projekt okładki tomiku poezji Jesienina. Już jednak r. 1933 przyniósł stałą Waś-

niewskiego współpracę z „Kamena”. Od tego czasu niemal każdy numer pisma był zdobiony jego linorytem, odbijanym na osobnej wkładce. Zwykle prace te miały sygnatury („Z.W.” lub „W.Z.”), a czasem własnoręczne podpisy autora. Razem „Kamena” zamieściła bądź w piśmie, bądź w publikacjach własnej „Biblioteki”, ponad pięćdziesiąt prac graficznych Waśniewskiego. Stanowią one trzon dorobku artysty w dziedzinie grafiki.

Na linoryt przeniósł Zenon Waśniewski swoje zainteresowania tematyczne, realizowane poprzednio w innych technikach: najczęstsze prace to pejzaże miejskie (kościół mariacki i poreformacki w Chełmie, zamek w Łucku) i górskie („Dolina Białej Wody”, „Zbójnickie Turnie”), portrety (własny, żony, poetów: Mickiewicza, Puszkina; marszałka Piłsudskiego — według znanych wzorów), martwe natury (nasturcje z budzikiem, kwiaty w wazonie), sceny rodzajowe („Postój”).

Wiele z tych dzieł to prace samodzielne, swą oryginalnością zapewniające ich autorowi wysoką pozycję wśród osiągnięć grafików lubelskich tego czasu.

Dziela Waśniewskiego oglądała publiczność — nie tylko, choć przede wszystkim lubelska — na wielu wystawach: w 1928 roku prezentował się w warszawskiej „Zachęcie” i w Zamościu, miał też indywidualną wystawę siedemdziesięciu pięciu akwarel w Muzeum Lubelskim, w roku 1931 brał udział w dwóch Salonach Dorocznych „Zachęty” — Wiosennym i Jesiennym, w roku 1936 — w Salonie Lubelskim, rok później — w wystawie lubelskiego oddziału Związku Artystów Plastyków, a w 1939 roku — w Salonie Lubelskim. Niemał wszystkie te ekspozycje pozostawiły w prasie krajowej ślad tylko w postaci wzmianek, dotyczących wernisaży, notatek o charakterze czysto kronikarskim. Pisma chełmskie zamieszczały nieco częściej niż inne recenzje wystaw prac „znanego spo-

leństwa miejscowemu profesora Waśniewskiego”. Podkreślano, że „obrazy p. Waśniewskiego są pełne życia i robią bardzo dobre wrażenie na widzach. Technika została opanowana przez artystę, a z obrazów bije zrozumienie i poczucie piękna”. Oceniano te prace jako „bardzo miłe i skromne”. Czasami wypowiadał się jakiś „specjalista”, jak podpisany „M. Gańko” w „Kronice Nadbużańskiej” z listopada 1935 roku: „Zbiórka wystawa prac malarskich Zenona Waśniewskiego daje najważniejszą stronę podejścia do sztuki: stałe dążenie do możliwie najwierniejszego studium w dziedzinie koloru i formy. Wynika stąd w niektórych pracach zbytnie podkreślanie niektórych szczegółów, co osłabia wrażenie całości. Bogata szata barwna artysty wykazuje zupełne opanowanie palety malarskiej. Śliczne zieleń, ciepłe, zimne, jasne, ciemne, soczyste, pełne życia, dają owo piękno prac krajobrazowych. Może nieco za szara jest ta gama w pracach tempery, może za wiele zastanowień zimnych. Akwarela doskonała. Linoryty i prace rysunkowe porządne, rzetelny rysunek i dbałość o kompozycję. Ogólne wrażenie wybitnie dodatnie”. Jedną z zalet tej recenzji jest fakt, iż jej autor wspomina o grafice Waśniewskiego. Linoryty od czasu tej wystawy będą pokazane dopiero po wojnie.

Warto przytoczyć jedną jeszcze opinię. — Po Salonach w 1931 roku w „La Revue Moderne Illustrée des Arts et de la Vie” ukazał się artykuł, omawiający prezentowane dzieła; podkreślano, między innymi, umiejętne Waśniewskiego operowanie barwą i światłem, dbałość o kompozycję.

Po śmierci Zenona Waśniewskiego odbyło się jeszcze kilka wystaw jego prac. Już w październiku 1944 r. — na pierwszej powojennej ekspozycji dorobku lubelskich artystów — wystawiono projekty znaczków pocztowych i ekslibrisy jego autorstwa, wykonane w obozach, ocalone przez współwięźniów. W r. 1957 w Chełmie pokazano niemal całe oeuvre Waśniewskiego.

Nieco poszerzoną prezentację przedstawiono w tym mieście w r. 1965 — z okazji dwudziestej rocznicy śmierci artysty. Po raz ostatni pokazano prace Waśniewskiego w roku ubiegłym — przy okazji obchodów 50-lecia „Kamena”.

Podsumowując twórczość Waśniewskiego, nie można nie uznać jego oryginalności. Całe życie czerpał tylko z własnych doświadczeń, bo trudno brać pod uwagę sporadyczne i krótkotrwałe kontakty z innymi artystami. Próba rozpatrzenia tego dorobku jako samorodnej i zupełnie samodzielnej twórczości napotyka jednak na pewne trudności. Ogromna różnorodność omówionych prac uniemożliwia jakkolwiek syntezę i nie pozwala na właściwą ocenę. Był Waśniewski, zdaje się, jedynym artystą chełmskim swego czasu. Nie dlatego jednak wart jest uwagi. Konkurencję dlań mogli stanowić artyści lubelscy. Było ich wielu, a co najmniej kilku wyróżniało się wrażliwością czy też warsztatem. Zenon Waśniewski, choć pozbawiony codziennych, bezpośrednich kontaktów z tym środowiskiem, należał do niego swoim dorobkiem. Na tym tle i w takim właśnie kontekście trzeba jego twórczość ujmować. To spojrzenie pozwoli nam lepiej jego prace ocenić. Na to potrzeba jednak badań wnikliwszych niż dotychczas. Ale i teraz można z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że był Waśniewski artystą znaczącym, a wszystkich przewyższał w swych graficznych pejzażach. Choćby z tego względu warto mieć w pamięci jego postać i dorobek.

Informacje dot. Z. Waśniewskiego podaje głównie za: K. A. Jaworski, Pisma, t. 7: W kregu „Kamena”. Lublin 1973.

Korespondencje Z. Waśniewskiego z B. Schulzem cytuję za: J. Ficowski, Listy Brunona Schulza do Zenona Waśniewskiego, „Twórczość” 1966, nr 10, s. 76-100.

Moi obrońcy

Czesław Kuriata

KTOREGOS pięknego wieczoru jestem w koszalińskiej restauracji „...lyk”. Zapłaciłem rachunek za jakieś anonimowe towarzystwo i najspokojniej w świecie wychodziłem z lokalu. I właśnie w tym ścisku musiałem kogoś potrącić. Pretensje o to zaczęło żywić ogromne, podchmielone chłopisko o istic hadesowej twarzy, z nosem jak żuraw, z dwoma sterczącymi zębami w górnej szczęce. Poprzez głowy innych, którzy nas rozdzielali, wyciągnęły się do mnie ręce, jak wysuwają się szczęki d'wigu po upatrzony ładunek. Nie jestem z natury aż taki tchórzliwy, sam kiedyś uprawiałem boksy, ale w tamtej chwili naprawdę skuliłem się przyduszony do ziemi uczuciem rezygnacji. Postanowiłem, że nie będę jednak uciekać. Nawet jeśli mnie zbije, będzie to poświęcenie się dla ludu, cena jaką zapłacę za doświadczenia życiowe potrzebne pisarzowi. Tak sobie zawsze chytrze tłumaczę podobne beznadziejne sytuacje. Należy im wybaczyć, bo nie wiedzą, co czynią — odezwała się we mnie nuta chrześcijaństwa. Ręka obrzydła była już o kilka centymetrów ode mnie. Wciąż nie mógł mi dostać swoją szponiastą łapą, bo przeszkadzali mu ludzie między nami. Niestety, zrobiło to niechybnie. Jest przecież ogromny i silny, a więc wnet dostanie się do mnie, ja natomiast nie mam możliwości wycofania się, bo przecież napierają na mnie ludzie przepychający się do szatni. I wtedy szatniarka, która jest moją znajomą, krzyknęła ostrzegawczo wymieniając moje nazwisko. Widocznie znała ile dryblasza. Teraz odbyło się wszystko tak błyskawicznie, że mogłaby to tylko pokazać kamera filmowa w zwolnionym

tempie. Kiedy już szpony (jak szczęki d'wigu) miały mnie dosięgnąć ktoś rąbnął napastnika w podbródek ktoś inny poprawił. Mój potężny agresor z nosem jak żuraw zaczął broczyć krwią. A więc cioty, którymi go „obdarowano”, były potężne, jeśli taki chłop zwinął się w tłumie jak parciały manekin. Uchwyciłem twarz jednego z moich obrońców. Obaj jednak wybawcy błyskawicznie zniknęli. Wyśliznąłem się bezpiecznie, bo mego napastnika odprowadzał ktoś do toalety, już niegroźnego, wręcz potulnego.

Moich obrońców udało mi się dopaść dopiero na ulicy. Chciałem im podziękować, bo przecież dokonali tego wszystkiego bezinteresownie nie licząc nawet na to, że kiedyś się spotkamy. Poznali mnie, ale niezbyt ucieszyli się, widząc przy sobie. A więc nie chcą nawet podziękowań?

— Ludzie nie mają żadnej kultury... To ciemna hołota — powiedział do mnie ten, którego twarz zapamiętałem, a jego ton świadczył, że przeprasza mnie i wstydzi się za dryblasza, który chciał mi spuścić ciężki.

Przytaknąłem skwapliwie. — A komu mam przyjemność zawdzięczać ratunek? — zapytałem ciepło.

— To nieważne. My nie mamy nic wspólnego z tamtym — powiedział szybko drugi, oglądając się uważnie za siebie.

Pierwszy z nich przypieszył kroku. Tak, byli niezadowoleni z mojego towarzystwa i najwyraźniej chcieli się jak najszybciej ode mnie oderwać. W milczeniu przecięliśmy kilka ulic, oddalając się od centrum miasta. Widocznie teraz poczuli się bezpieczniej, bo zwolnili kroku. Napięcie jakby tro-

chę opadło, atmosfera odtajała.

— My pana bardzo dobrze znamy i bardzo lubimy. Pan jest koszalińskim poetą — powiedział ten pierwszy.

— A skąd panowie mnie znają? — zapytałem mile polecthany.

— My pana nigdy dotąd nie widzieliśmy. Szatniarka krzyknęła do pana po nazwisku — wyjaśnił drugi.

Zamilkli, jakby postanowili na tym skończyć wyjaśnienia.

— Może panowie byli na moim spotkaniu autorskim? — pomagałem.

Jeszcze milczeli.

— Alb. spotkaliście się gdzieś w restauracji? — znowu pytałem, bo paliła mnie ciekawość podniecana próżnością.

— Dopiero dziś, po dwóch latach, posłaliśmy do knajpy — powiedział jeden z nich.

Wyglądają na starych bywalców lokali, a przede mną udają świętoszków — myślałem. Dalej nic nie rozumiałem. Szkoda, że upierają się przy tak naiwnym kłamstwie. W świetle latarni ulicznej widziałem ich twarze z bliznamy, dziwnie rozbiegane oczy. O, naiwni, oszukacie może kogo innego, ale nie mnie — znowu pomyślałem i już w duchu złościłem się na nich. Szli teraz wolno i wydawało mi się, że krepują, ujarzmiają swoje energiczne ruchy, swobodny sposób bycia. Nagle jeden z nich przystanął.

— Ten cholerny bandzior chciał pana pobić — usłyszałem słowa wypowiedziane usprawiedliwiającym tonem.

— Powiedz panu wprost, nie owijaj niczego w bawełnę... Widać, że z pana równy chłop — odezwał się drugi do swego kolegi.

— Tak, wczoraj wyszliśmy z ciupy — powiedział pierwszy i odetchnął z

ulgą, jakby mu kamień spadł z serca. — Prokurator uznał nas za chuliganów, a my niewinni.

— Proszę pana ten prokurator to była baba — wtrącił drugi, jakby to stanowiło niezbity dowód ich niewinności.

Teraz dopiero rozwiązały im się języki. Długo opowiadali o niesprawiedliwości sądów. Oni są naprawdę niewinni. Dali wciry facetowi, który ich oszukał. Co w tym złego? Ale popadli na prokuratora-babę i ta im dolożyła i jaka tu sprawiedliwość! To oni wynierzyli sprawiedliwość facetowi, który oszukał i to nie tylko ich. Wynikało z ich opowieści, że raczej powinni dostać nagrodę, a tu posadzono ich aż na dwa lata.

— Nie widzieliśmy pana w życiu — powiedział ten, którego zapamiętałem jeszcze w lokalu.

— Jak to, nie widzieliście? Skąd więc...?

— Widzieć, nie widzieliśmy, ale my przez dwa lata czytaliśmy „Głos Koszaliński” z pańskimi wierszami, czytaliśmy też słuchaliśmy opowiadań w radiu... — wyjaśniali jeden przez drugiego. — Wiemy, że pan jest koszaliński poeta... Zdebiłem.

— My pracowaliśmy na budowie — uzupełnił jeden z nich.

— Wczoraj wyszliśmy...? — powiedział cicho, nie wiedząc jak swoje zdziwienie wyrazić. — A dzisiaj...? — jakąś się — Przecież was znowu mogli zamknąć?

— Za co? — obruszyli się jednocześnie — I to pan mówi... My sprawiedliwie.

— Ale znowu ryzykowaliście — szepnąłem, bo nie bardzo wiedziałem, jak im rzecz całą wytłumaczyć. Nie chciałem okazać się niewdzięcznikiem, oni mnie przecież uratowali. Było mi ich naprawdę żal, przeze mnie mogliby znowu... Czy żaden z nich tego nie rozumie? Natychmiast jednak uswiadomiłem sobie, że wyjaśnianie im czegośkolwiek byłoby względem nich nieaktowne. Jeszcze, nie daj Boże, pożaluj, że mnie ratowali, takiego niewdzięcznego faceta... — No, tak... Bardzo panom dziękuję...

Czy mogłem swoim sprawiedliwym wybawcom nie przyznać racji? Pożegnałem się z nimi niezwykle serdecznie.

Fragment przygotowywanej do druku książki pt.: „Zapiski prowincjonalnego pisarza”.

Nektar Olimpu

Nina Sikora

MOJE przyście nie zrobiło specjalnego wrażenia: krótkie powitanie ze Stachem, który chyba jako jedyny nie zrobił z siebie blaźna do końca.

Ale tak między zapisaną a niezapisaną stroną było trochę inaczej, bo zwrócone na mnie oczy były świadectwem czegoś, tylko nie tego, czego wtedy pragnęłam. Patrzone na mnie nachalnie i dając głowę, że ci wszyscy samozwańcy artyści, którzy pieszcząc i smyrząc się nawzajem, wołali na siebie: poeci, w tym właśnie momencie myśleli — „niezła dupa, chyba da się przerażać”. Każdy z nich, wielkie indywidualium, obmyślał jakąś strategię, ale wszyscy oni razem wzięci w pęczek chcieli dojść do celu po najmniejszej linii oporu, na wstęp składały się słówka, uśmiechy, potem wulgarne obmacywanie wzrokiem i na koniec przepijanie do obiecującej poetessy.

Już wtedy wszystkich trafnie oceniałam. Zmylił mnie tylko Zeus: waga średnia, oczy piwne chyba od urodzenia i potężny bebecon, który — gdyby osobno i z drewna byłby pokazna beczulka na dobre piwo, albo stare wino.

Zeus robił akordowo na autorytet, którym, to było widać lubił się cieszyć, a reszta, że znała upodobania Zeusa, nie przeszkadzała mu w tym i wiernie przytakiwała jego przegryzionemu przez alkohol basowi. Od początku towarzyszyła Zeusowi grupa młodych, obiecujących się zapowiadających przez swoje apokaliptyczne wizje tutejszych artystów. Ja się do nich nie zaliczałam ze względu na kilka szczegółów, może nawet bardzo istotnych. Po pierwsze dlatego, że byłam żółtodziobem rodzaju żeńskiego, której towarzyszył młody o podkrążonych oczach poeta (jeszcze wtedy nie nacjonalista), który w dodatku nie mógł nic powiedzieć na temat Iwaczy, z tej prostej przyczyny, że nigdy nie miał szczęścia pić z Iwachą w przeciwieństwie do Wiel-

kich Wybranych, a poza tym dlatego, że apokaliptyczność mojej osoby nie miała w sobie zbyt wiele totalizmu procentowego.

Tak więc podział na grupy istniał od pierwszego wejścia i sprawa nie przybrała innego obrotu do końca. Zeus był dalej wieloznaczny, wręcz tajemniczy, i chyba nawet ci, co mówili mu przez ksywkę, czuli do niego spory dystans, chociażby przez jego wieloletnie ćwicze-



Rys. Waldemar Rukée

nia w pokonywaniu odległości blat-usta. Dopiero tutaj, na Olimpie, Zeus odkrył nieco swoje karty, nie były to jednak dobre karty, cały czas blefował, nie miał żadnego asa, a grał jakby miał. To znaczy w pojęciu niektórych drobniejszych Bożków-Apokaliptyków był Wielkim Wybranym i z pewnością był to jedyny powód, dla którego wchodził mu w otwór odbytowy, by tylko Zeus raczył dojrzeć czyjeś jasnowiedzenie.

W zasadzie mogłam zrozumieć sytuację, w której jeden z tych hochsztaplerów pióra pocałowałby Zeusa w dupę, ale żeby ciągle lizać to napawało mnie co najmniej obrzydzeniem.

Zeus okazał się niezłym gawędziarzem, przdującym w barwieniu swoich przygód wprost z życia. Jego gawędy stawały się bardziej interesujące, gdy stała przed nim dorodna, pełna w barwie, kształcie i smaku jego wierna kochanica. Nigdy jej nie żałował i lał w siebie do utraty pamięci, chociaż w ciągu tych trzech dni nigdy jej nie stracił w przeciwieństwie do Jana W. Nawet w momencie, wydawałoby się, najbardziej tragicznym, wydekłamał poemat do pawia, który mimo jego intelektualno-perystalgicznego wysiłku wytoczył się. I jak to określił jeden młody, ambitny redaktor perspektywistycznej gazety, potoczył się wspinał haftem kurpiowskim po starym tynku zabytkowego dworu. Zeus, ani odrobinię zmieszany, powiedział: „a wiesz Smyku, że to, kurwa, ciekawe, nigdy — jak swego pana szanuje — nie byłem na Kurpiach”. Na to Smyk, że on się na tym zna, bo studiował historię sztuki i jest to oryginalny haft kurpiowski. Zeus czuł się chyba doceniony i głosem nie mającym ani krzty drwiny w sobie i poza sobą wycedził ochryple: „Mimo wszystko jestem artystą, a tak w ogóle, to moja improwizacja też nie w mordę j... tylko dziwka uciekla razem z pawiem. A to kurwa!” Ostatnie słowo wypadło zmęczone, chociaż pierwsza sylaba była jedyną, wprost wypieszczoną, tak jak powinno to wyglądać u wytrawnego poety-erotomana.

Zeus mnie zmylił, myślałam, że blefował, a on naprawdę grał i to najbardziej perfidnym w swej fonetyce kartami. Grał jak zawodowiec, a robił wrażenie co najmniej początkującego profesjonalisty.

Z całą pewnością nie był nim, nie był także szulerem, powoływał się przecież na Iwachę, Oha i Jasię z walizką.

Zeus okazał się prawdziwy nawet bardziej niż w ostatniej gonitwie, chociaż został na Olimpie jeszcze kilka dni po naszym wyjeździe. Zeus tak naprawdę za niczym nie gonił, był statecznym bywalcem Eleonory, przeżywającym swoje życie od poematu do poematu z krótkimi falami powrotu wypitej i gwałconej kochanicy-gorzaleczki.

... Nauczycielskiego Klubu Literackiego im. Józefa Czernieckiego przedstawił nam twórcze poetyka kilku swoich członków. Wzięliśmy — w związku z trwającymi Dniami Kultury Oświaty. Kolażki Prasy — kilka wierszy

Gdy wieje wiatr historii,
ludziom jak oleknym ptakom
rosną skrzydła automat
trzęsą się portki oetakom.

K. I. Galszyński

Rys. Edward Ingliot

mój świat był kiedyś nietykalny
wyniosły i aż nadto wielki
pstrzył się cudzymi kokardami
błyszczały gęby i lakterki
i orkiestrowo wówczas było

nagle czas rozkołysany
gniewnie zdmuchnął mgły rzędkące
i czerep blaszany
z brzękiem się stoczył
na rozchwianą ziemię
gdzie złudzenia jeszcze śmily

tam od nowa poszum wzbiera
że świetlana nas obdarzy
chlebem którego nie ma
bo szczerości zabrakło
nawet zgrzebną radość
zwleczono z ołtarzy

a więc jak tu nie wyjść z cienia
i w swą inność nie uwierzyć

Lidia Kościńska

MIŁOŚĆ

Nagle
złoty cud cygańskiego księżycy
i czerwony krzyk ogniska.

Nagle
strumień lesistego szumu
i chłodny dotyk zieleni.

Nagle
pieśni rozlewne i tęskne
lub szaleństwo czardasza.

Miłość nagła przebija serce
i pod cygańskim księżycem
każe paść na ziemię.

Krystyna J. Kozłowska

RĘCE

Ręce matki jak muszelka...

ręce ojca to przystań
w której można się schronić
cofnąć czas
zredukować przestrzeń do punktu
i znów będąc dzieckiem

wrócić do swojej muszelki



Zofia Nowacka- Wilczek

MOWISZ

drobiazg
błahostka
machasz ręką
jak byś garsć cynizmu —
skradzioną jalmuznę
chciał rzucić pod nogi
kulawego szczęścia
uśmiechasz się nawet
cząstką niezłomności
chowana na wszystkie
szczególne okazje

gdybyś widział
tę minę
zdartego komika
w przedostatniej kwestii
monodramu życia
gdybyś gestów konanie
mógł wydrzeć litości
pewnie byś zatrzymał
kurtynę pozoru
w pół drogi
pomiędzy
mitem
a wielkością

Jan Pętlewski

PORĘBA

Tu drzewa sądzą ludzi
nastuchują szmerania odstanianych źródeł
chcą zatrzymać spłoszone obrazy
kwiaty skazane na śmierć
zieleni rozmawiający strumień
i echo z otwartej siekierą polany

Ewa Beata Sawicka

Rodzę się codziennie
W bólu i męce
Każdego dnia
Kierowana instynktem życia
Bezbronną pięścią przebijam ściany więzienia
Które mnie wykarmiło
Wykolyśalo w rytmie ciemności

Rodzę się codziennie
Czerwienią na biele
Nareszcie!

Mogę pełnym głosem wykrzyzczeć
Prawdę o moim istnieniu
Tłumioną dotąd w zarodku

Jerzy Utnik

WIĘZ

serdeczna wstęga
snuje się cieniem sosen
zapachem krwi
poszyciem potu w głąb
chata
zgarbione plecy
i kłosy złote splecione błękitem
tu
lustrzane wiązki
świętojańskie, mlecznej drogi
rosną konarami tęczy
jak przez różowe szkiełka
wbity w szachownicę
pionek
deszczem słonym
skrzydłami białego orla
z głębi i wzwyż
wraz i na przekór
trwa
prastary dąb
własnej ziemi

● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI

POETA, prawdziwy poeta, ilekroć tworzy wiersz stoi niemal bezbronny przed chaosem rzeczywistości. W trudzie musi powołać pojęcia, stworzyć porządek wiersza, wydrzeć rzeczywistości, co rusz zacieraając, się jej esencję. Jerzy K. Misiec próbuje dokonać tej nie lada s.tuki w swej kolejnej książeczce poetyckiej „Ballady i bilanse”. Zaczyna swą pracę, jak wielu jego poprzedników, od wątplenia w zastane, zakrzepłe konwencje i chwyty literackie. Twierdzi, że trzeba je zburzyć, bo są po prostu martwe. W zamian proponuje mowę sproszalowaną i dosadną. Nie chce wcale tworzyć wierszy pięknych, bogatych obrazowaniem, skrzęcych się doborowym słownictwem. Dla niego nadrzędny jest postulat docierania do prawdy. A z tym jest raz lepiej, raz gorzej. Otóż dosadność, moc określenia nie zawsze idzie w parze z celnością i wnikliwością. Zeby nie być gołosłownym przytoczę znamienne tego przykłady:

Smiełnikiem jesteś
dziecko
rzeczywistości nasza
(„Ballada śmieciarska”)
ta cholerna samotność
i nuda ludzkiego głumu
(„Obłęd ufologa”)
W drukarniach zbiorowego obiedu
debiłem zostawczy, społecznie nieużytecznym
mesażem prawdy o płonących skrzydłach
proszę o łagodny wymiar kary
(„Stan trybunału”)

Te mocne określenia, typu debil, dziwka świadczą o bezsilności analitycznej poety, nie sięgają w głąb, a raczej zatrzymują się na powierzchni zdarzeń. W stosowaniu tak dosadnych

określeń kryje się, jak sądzę, fascynacja poezją Bursy i Wojaczka. Ich ślady są dość wyraziste w tomiku „Ballady i bilanse”, w takich chociażby wierszach jak „Poemat odmetaforyzowany o poezji” (por. R. Wojaczek „Poemat mojej melancholii”), albo „Stary aktor prowincjonalny pisze podanie”. Pragnę podkreślić, że w pełni rozumiem niechęć autora „Ballad i bilansów” do

TAK I NIE

akademickiej ukladności i estetyki, rozumie, że uznaje on za prawdziwsze, godniejsze poezji materialne przejawy życia. Zgłaszam tylko zastrzeżenia do zbywania czytelnika wyswiechtanym epitetem, czy zwykłym przekleństwem. Znacznie lepsze wrażenie zrobiły na mnie wiersze o nieco nowofalowej poetyce. Tutaj ja poety pojawia się w zawierusze społecznych i politycznych zdarzeń. Występuje w opozycji do uniormizujących zachowań i poglądów. Wiersze te, wiele z nich pisanych było w latach siedemdziesiątych, są szyderstwem z propagandy sukcesu, drwiną

z uladzonej papki prasowej. Walka ze sloganem toczy się na kartach „Ballad i bilansów” i w moim rozumieniu jest to walka zwycięska. Szczególnie zaś w tych wierszach w których autor „Pisanie życiorysu” przetyka swe konstatacje społeczno-polityczne liryzmem. Jest po prostu tak, że zwykle ludzkie uczucia obnażają w tych wierszach to, co jest pokraczne w sensie globalnym. Życie pojedynczego człowieka jest tu probierzem społeczno-politycznych wydarzeń, bo w końcu jednostka jest prawdziwą wartością i podmiotem. I co może najważniejsze, że właśnie w wierszach przeciwstawiających jednostkę wszelkim maszyniom masowemu, poeta sięga i porusza istotne nerwy rzeczywistości. Nie tam, gdzie mówi o debilah i spermie, lecz właśnie tu jest poeta. Ot, chociażby w takim fragmencie:

Jestem pośród was tak anonimowy jakby
zamknięty hermetycznie w jednej monote
stumu
ty też dziewczyno potrzebujesz światła
ja oparty o kaloryfer twojego serca
jestem cną nocą
(„Pieśń niemoralna o świetle”)

Mówi się tu o namacalnej rzeczywistości, jednakże w głębokim, metafizycznym sensie. Słowo zanurza się tu w podstawy bytu i dźwięczy poezją. I o to jak sądzę, zarówno Jerzemu K. Miścowi jak i jego czytelnikom chodzi.

Krzysztof Derdowski
Jerzy K. Misiec, Ballady i bilanse, Wydawnictwo Lubelskie, 1983, str. 34, cena — 30 zł.

POCZTA LITERACKA

Wiesław E. Sopot. Pańskie wiersze są na razie poetyzowaną publicystyką, przyznaję dość zgrabną. Idee jakie Pan podejmuje są szlachetne i na tym budowałbym pewne nadzieje. Z rytmika wierszów Pan sobie radzi, ale skoro zdecydował się Pan na rymowanie, musi ono być bardziej odkrywcze. Z zainteresowaniem przeczytałem w przyszłości nowa korespondencje z Sopotem. Moim zdaniem ma Pan niepowtarzalne narwiśko, nikt pod nim nie publikuje, czemu więc ma służyć obrany przez Pana pseudonim, tym bardziej, że na to też trzeba i tak za wszelką cenę?

Andrzej J. Bończa. Można o Pańskich wierszach powiedzieć prawie to samo, co o utworach Wiesława E. tylko że ma Pan do pokonania więcej od niego przeszkód. Nadto ta nuda metafizyczna sprawa wrażenie że do innego rodzaju czasopisma powinien Pan skierować swoją korespondencje. Pańska samocena jest bliska prawdy ale nazbyt surowa.

Kamil Krzysztof S. Lublin. Odpowiadając Panu przed czterema chyba laty. O pseudonimie było podobnie, jak w odpowiedzi dziesięcioletniej „Pocztę”. Pan trwał przy swoim. Najgorzej jednak że obecna przesyłka nie znamionuje postępu, wydaje się, że pisze Pan gorzej. Proponuję odwiedzenie Dziennika Literackiego w którym z najbliższych olatków porozmawiałem z Bogusławem P. Wrocław. Ciesze się, że Lublinianka Ania stała się dla Pana muzyką. Wśród tych czterech wierszy są strofy robiące pewne wrażenie jeden z utworów wrócił moja uwagę w całości, mam na myśli ten pod tytułem „Trzy razy sztuka”. Czekam na następną przesyłkę.

DOJŚĆ DO BERLINA!

Dokończenie ze str. 1

„linii granicznej” 2462 km stało się ważną przesłanką określającą dysproporcję sił. Polska leżała na geograficznym i politycznym krańcu kapitalistycznej Europy i odczuwała wszystkie konsekwencje tego układu — polityczne i gospodarcze. Była bowiem przedmiotem polityki mocarstw zachodnich, zwłaszcza Francji i Wielkiej Brytanii, które widziały nasz kraj wyłącznie w kontekście własnych interesów i planów politycznych. Wprowadzona z założeń ideowo-politycznych (ustrojowych) państwa oraz takiego położenia, myśl strategiczna polskiej polityki zagranicznej, zakładająca zachowanie „równowagi” pomiędzy Berlinem a Moskwą, nie zabezpieczała realnych sojuszy. Te, które były zawarte, oznaczały w praktyce osamotnienie w walce, choć z drugiej strony były czynnikiem przekształcenia, począwszy od 3 września 1939 r., agresji niemieckiej na Polskę w wojnę koalicyjną i światową.

Konfrontacja zbrojna musiała wobec potencjału Niemiec doprowadzić do naszej klęski militarnej, zawiązania ziem polskich i ich okupacji. III Rzesza wydała Polsce wojnę totalną, która z całą brutalnością uderzyła w nasz kraj. Przez „totalność” rozumiem nie tylko zespół użytych środków: 1850 tys. żołnierzy Wehrmachtu, ponad 2 tys. samolotów, 2800 czołgów, ponad 10 tys. armat (w sumie „masę” nieznaną dotąd w dziejach!), ale także zbrodniczy sposób prowadzenia działań wojennych i niespotykaną wrogość wobec wszystkich możliwych sfer społecznego.

Agresja 1 września to jednocześnie pierwszy etap wojny narodowo-wyzwoleńczej Polaków.

W tych nierównych zmaganiach broniliśmy nie tylko wolności własnego kraju na blisko 1500 pobojuwiskach Września 1939 roku, ale broniliśmy z determinacją ideałów ludzkości — pokoju i niepodległości. Walczyliśmy krwawo i z honorem, a nazwy od Poczty Polskiej w Gdańsku i Wester-

platte, po Hel i pobojuwiska Woli, Gulowskiej, Gulowa i Adamowa w rejonie Kocka w dniu 5 października zamykają pierwszy okres polskiej wojny narodowo-wyzwoleńczej, obronnej.

Ten opór stał się przesłanką konstytucyjno-prawnej ciągłości państwa, które było reprezentowane na emigracji. Zawojowanie ziem polskich nie pozbawiło władzy państwowej jej prawowitości i nie pozbawiło narodu woli walki, woli będącej wynikiem poczucia sprawiedliwości Polaków i najwyższego prawa narodu, prawa do życia.

Z tego oporu, zbrojnego i bohaterskiego przeciwstawiania się agresorom, wyrosły przesłanki koalicji antyfaszystowskiej, jeśli wspomniemy inicjatywę Rządu RP na emigracji na przełomie 1939/1940 r., choć poprzedzało je jakże gorzkie doświadczenie narodu, gdy przedwrześniowe sojusze okazały się tylko deklaracjami, a trwająca „dziwna wojna” na Zachodzie w niczym nie spełniała zawartych porozumień sojuszniczych.

Doznane osamotnienie było początkiem nowej orientacji politycznej narodu i podłożem rewolucyjnej koncepcji wojny, wypracowanej programowo przez obóz lewicy z PPR na czele.

Polska była istotnym ogniwem tworzonej koalicji, jeśli wspomniemy autorstwo apelu „do sumienia świata” ogłoszonego 17 kwietnia 1940 roku w deklaracji międzyrządowej Francji, Wielkiej Brytanii i Polski. Był to apel potępienia zbrodni okupantów na ziemiach polskich. A gdy okrzyk „Wielka Koalicja”, mocarstwa, w tzw. deklaracji moskiewskiej (30 października 1943 r.), przyjęły go za jej podstawę i ogłosiły, że jednym z ich wspólnych celów i zadań będzie ukaranie przestępców wojennych. Polskie inicjatywy w kwestii ścigania i karania zbrodniarzy, polska dokumentacja zbrodni wojennych (notabene Rząd RP na emigracji dwukrotnie ogłosił w 1940 i 1943 r. tzw. „białe księgi”, zbiory dokumentów dotyczących losów narodu w wojnie i zbrodni wobec niego) stały

się wzorcem dla wielu rozwiązań międzynarodowych. Warto wspomnieć choćby proces lubelski (27 listopada — 2 grudnia 1944 roku) pięciu ujętych członków załogi Majdanka. Po raz pierwszy (na rok przed Norymbergą!) wymiar sprawiedliwości rozpoznawał tu zbrodnię ludobójstwa, określał winę, ferował karę i sposób jej wykonania (w miejscu popełnienia zbrodni, na terenie obozu na Majdanku). Były to precedensy dla poczucia sprawiedliwości (światowej) i wynikającej stąd normy prawa międzynarodowego. To także stanowiło część polskiego udziału w zwycięstwie, bowiem oznaczało dążenie do ukarania zbrodni przeciw ludzkości, która to zbrodnia zaczęła się agresją na Polskę.

Przez 2077 dni prowadziliśmy jako naród wojnę powszechną, o niepodległość, o biologiczne ocalenie, o sprawiedliwość dziejową należąca napadniętemu państwu, należąca narodowi poddanemu eksterminacji. Prowadziliśmy tę wojnę w różnych formach oporu na terenie kraju i poza jego granicami w ramach Wielkiej Koalicji. Prowadziliśmy wojnę siłami całego narodu, wszystkich jego grup i warstw społecznych. Podstawowe tendencje społeczne i polityczne, wynikające z klasowej struktury naszego społeczeństwa, spowodowały ukształtowanie się dwóch odmiennych koncepcji niepodległościowych: zachowawczej, zakładającej odbudowę państwa typu liberalno-(burżuazyjno)-demokratycznego, i rewolucyjnej, łączącej walkę o wyzwolenie narodowe z rewolucją społeczną. W historiografii nazwano te koncepcje „obozem londyńskim” i „obozem rewolucyjnym”.

Ogromną bazę dla tych struktur stanowiło antyokupacyjne podziemie, skoro już w 1940 roku rozwijało działalność ponad 200 organizacji i grup konspiracyjnych o różnej wielkości i zasięgu, reprezentujących niemal wszystkie środowiska społeczne i orientacje polityczne. Totalna wojna wniesiona na polską ziemię, poprzez intensyfikację wrogości, aż do zaplanowanego i realizowanego

— Co to jest naturyzm?

— To pewna filozofia i postawa życiowa. Szczegółową odpowiedź na to pytanie daje „Deklaracja ideowa Polskiego Towarzystwa Naturystycznego”. Mówiąc w dużym skrócie — trzy podstawowe kwestie wyznaczają drogę naszych działań: zdrowy człowiek jako jednostka biologiczna, zdrowy człowiek jako jednostka społeczna, a więc zdrowe więzi międzyludzkie oraz zdrowa przyroda, czyli nasze działania na rzecz ochrony środowiska.

— Piękne idee, tylko że są one bliskie chyba każdemu, niekoniecznie naturyście.

— Zgoda, ale jakie są tego efekty? My, naturyści, dostrzeżliśmy właściwe przyczyny złego stanu rzeczy. Człowiek współczesny, zawiązany przez zdobycze cywilizacji, coraz bardziej staje się jej wytworem. Brutalnie odcinany od przyrody, zapominał, że jest jej dzieckiem, jak drzewa, kwiaty, skały. Życie w świecie przedmiotów i uprzedmiotowionych stosunków międzyludzkich wytworzyło w nim kompleksy, poczucie samotności i niezdolność do stworzenia głębokiej więzi z innymi ludźmi. Uważamy, że poprzez nagość w kontakcie z naturą człowiek uzyskuje możliwie najpełniejszy z nią związek, poczucie jedności z otaczającą przyrodą. To wszystko sprawia, że czuje się „on” sobą, przedstawicielem gatunku, składnikiem przyrody, nią samą; odnajduje siebie. Zapomina, że jest automatem, trybem w wielkiej maszynie cywilizacji.

— Czyli lansujecie powrót do natury. Czy w ogóle możliwa jest ucieczka od cywilizacji?

— Byłaby to utopia. Człowiek nie może, a nawet nie chce uciec od cywilizacji, ale przez to coraz bardziej — niestety — staje się jej wytworem z wszystkimi tego konsekwencjami dla jego psyche. Myślimy to spostrzegli i oferujemy pewną szansę. W naszym przekonaniu, naturyzm odegra niebagatelną rolę przede wszystkim w dziedzinie kształtowania właściwych więzi między ludźmi. Naturalna, odmitologizowana nagość powoduje, że u człowieka w grupie odżywa głębokie poczucie przynależności do jednego gatunku w sensie biologicznym, zdolność postrzegania w drugim siebie samego. Pękają bariery, znika rezerwa, nieufność, człowiek nawet podświadomie staje się bardziej przyjazny i otwarty. Tego poczucia brakuje człowiekowi w pracy, w autobusie, na ulicy, w ogonku — słowem w życiu codziennym, gdzie podstawową rolę w kontaktach

z ludźmi odgrywają konwenanse, nakazy, przepisy itd. Brakuje tej niewymuszonej, naturalnej przychylności względem drugiego, widocznej u wszystkich innych istot tego samego gatunku biologicznego.

— Przeciwnicy naturyzmu często używają mocnych argumentów, jak „rozpusta, wspólnota pierwotna, kryzys moralny, Sodoma i Gomora” itp. Jak pan ustosunkowałby się do podobnych zarzutów?

— Tylko ludzie opętani demonem seksu widzą go wszędzie, nawet tam, gdzie go nie ma. Jest dla mnie zro-

naszej sfery kulturalno-obyczajowej, jak ekshibicjonizm, fetyszizm, homoseksualizm i inne dewiacje. Nagość na plaży humanizuje postawy erotyczne, przywraca seks do właściwych wymiarów; jest antidotum na wybujały erotyzm, manifestacją przeciw pornografii, traktowaniu ciała ludzkiego jako towaru w „strip-teasach”. Słowem: nagość kształtuje właściwe postawy względem płci przeciwnej.

— Jest pan l-karzem. Jak ustosunkowuje się do naturyzmu dziedzina wiedzy reprezentowana przez pana?

— Powszechnie wiadomo, że prze-

epilog przed kolegium orzekającym, a nawet przed sądem. Natomiast naturyzm jako koncepcja zorganizowanego ruchu jest rzeczywiście stosunkowo młody, bo liczy mniej niż 10 lat. Zresztą głośna już dziś w Polsce plaża w Swidwie też funkcjonowała długie lata na dziko. Początkowo przychodziło nas kilkunastu czy kilkudziesięciu, a dziś w upalne dni są tysiące. Liczba naturystów ma tendencję do podwajania sił z roku na rok. Perspektywy są więc zachęcające.

— Ilu was jest, jak kształtuje się struktura wieku, płci, zawodu?

Nago zdrowiej

ROZMOWA Z PREZESEM POLSKIEGO ZWIĄZKU NATURYSTYCZNEGO DR. SYLWESTREM MARCZAKIEM

zumiałe, że ci ludzie nagość, każdą nagość, także tę naturalną czy artystyczną, niewyuzdaną, niewyrafinowaną, kojarzą nieodłącznie z seksem. Niektórzy ponadto traktują go jako źródło wszelkiego zła. Skoro nagość — nawet ta zdrowa, naturalna — to seks, a temu przypisują wszelkie zło, to rozpustni naturyści są odpowiedzialni za wszelkie kryzysy moralne, ekonomiczne etc. Podkreślam — plaża naturystyczna jest asekualna! Nagość jest katalizatorem, który stymuluje otwartość i zaangażowanie w stosunkach między ludźmi. Na plaży panują relacje przyjacielskie, mówimy do siebie po imieniu, ludzie są kulturalni, życzliwi, panuje atmosfera pełnego relaksu przy aktywnym wypo- czynku. Siła moralna naszego ruchu tkwi w tym, że w dobie alienacji, technokracji zwracamy uwagę na człowieka, na rozwój jego osobowości, a przede wszystkim — właściwych więzi między ludźmi.

— Czy przebywanie nago na plaży wszystkich w ogóle prowadzi do wynaturzeń?

— Nasz sławny etnograf Bronisław Malinowski dowiódł, że wśród grup etnicznych, gdzie nagość jest zjawiskiem normalnym, nie występują zbrożenia seksualne, tak powszechne dla

bywanie na słońcu ma zbawienny wpływ na cały organizm. Opalanie nago doskonale zapobiega wielu chorobom w obrębie miednicy dużej i małej. Proszę zwrócić uwagę, że u nas, w Polsce, kostium plażowy służy jednocześnie do opalania i kąpieli. Owe mokre tekstylia po wyjściu z wody skutecznie prowadzą do wielu chorób, które ujawniają się często dopiero po wielu latach. Wspominałem już o skutkach cywilizacji wpływających na naszą psychikę. Cywilizacyjny balast — kompleksy, frustracje, rodzaje często apatie, poczucie bezsensu życia, stany lękowe — to poważny problem współczesnej medycyny i tu naturyzm dostrzega pewną furtkę.

— Jest pan szefem najbardziej chyba kontrowersyjnego stowarzyszenia w Polsce, preku sorem i najzagorzalszym propagatorem naturyzmu. Proszę powiedzieć, jak było na początku i jakie widzi pan perspektywy tego młodego u nas zjawiska społecznego?

— Naturyzm jako idea nie jest w Polsce młody, jak się sądzi. Od szeregu lat funkcjonowały tu i ówdzie dzikie plaże, szczególnie na Wybrzeżu, gdzie w pojedynkę lub grupowo pod groźbą mandatu opalali się naturyści. Słychać było o nich, gdy wybuchała jakaś afera, mająca najczęściej swój

— Szacunkowo obliczam, że jest nas w Polsce około 60 tysięcy. Jeśli nie stanie na przeszkodzie i tendencja się utrzyma, za pięć lat będzie nas około dwóch milionów. W pierwszej fazie przeważali mężczyźni w wieku 30—40 lat, jeśli kobiety — to młode; obecnie na plaże przychodzi całe rodziny od wnuczka do babci. Właśnie taki rodzinny naturyzm chcemy propagować na wzór naszych zachodnich sąsiadów, gdzie naturyzm jest zjawiskiem masowym.

— A propos dzieci: zarzut zgorzelenia nie wydaje się całkiem bezpodstawny.

— W kwestii wychowania seksualnego dzieci i młodzieży są — jak wiadomo — dwie szkoły. Według jednej, należy dzieci trzymać od tych spraw jak najdalej, i jak najdłużej. Według drugiej, należy nie zwlekać z wychowaniem seksualnym i zaczynać jak najprędzej. Są społeczeństwa gdzie od dłuższego czasu powszechnie dominuje ta druga szkoła, np. w RFN czy w Szwecji, gdzie dzieci już w przedszkolu są uświadamiane seksualnie. Która szkoła jest właściwa? Ta kwestia wydaje się być decydująca i jak do tej pory — u nas chyba nie rozstrzygnięta. Nasz pogląd jest następujący. Plaża

wyniszczenia całego narodu, legalnym czyniła każdą formę oporu. Była to po prostu obrona konieczna i to we wszystkich możliwych dziedzinach życia, które okupant z premedytacją niszczył.

Nie sposób wymienić choćby wszystkich typowych przykładów z faktografii ruchu oporu. Od oporu biernego, obrony języka i wiary, kultury i godności narodowej, poprzez sabotaż i dywersję, aż do walki partyzanckiej i powstańczej — oto rozpiętość wysiłku społeczeństwa w okupowanym kraju. Zjawiskiem szczególnym, gdzie indziej nie spotykanym (poza Norwegią), było tajne nauczanie, które objęło około miliona młodzieży, podobnie jak masowy ruch wydawniczy druków i prasy konspiracyjnej, obliczony na ponad 1,5 tys. tytułów; zaś bibliografia druków zwartych obejmuje 1069 pozycji (ustalenia z 1970 r., dziś zapewne więcej).

W 1944 roku, w momencie wyzwolenia ziem polskich, do walki stanęło około 350 oddziałów i grup partyzanckich, w tym 15 brygad, kilkanaście związków pułkowych i dywizyjnych oraz siły powstańczej Warszawy. Polski ruch oporu działał nie tylko na obszarze własnego państwa, ale na szczególnie ważnym obszarze strategicznym przedpola wschodniego, największego, najbardziej znaczącego w II wojnie. Stąd ogromne znaczenie około 2 300 uderzeń na transport, węzły łączności, linie kolejowe, drogi. Inny wyznacznik intensywności walki to około 4 500 potyczek i bitew partyzanckich, to ponad 18 000 akcji typu dywersyjnego i sabotażowego wobec aparatu administracyjno-gospodarczego okupanta. A działalność wywiadowcza ruchu oporu zarówno dla aliantów zachodnich, jak i Związku Radzieckiego? Są to działania dla historii trudne do jakiegokolwiek bilansów. Ich ślady spotkać można choćby w korespondencji W. Churchilla i J. Stalina, a jest to źródło nie wzbudzające wątpliwości. Podobnie niewymierne są wartości międzynarodowe polskiego podziemia, jeśli wymienić udział 30 narodowości — ludzi rzucanych losami wojny na polską ziemię i tu złączonych braterstwem broni z Polakami.

Drugą część wysiłku zbrojnego narodu stanowiła walka Polaków na emigracji, walka regularnych jednostek wojska, floty wojennej i handlowej oraz udział Polaków w ruchu oporu narodów i krajów zdominowanych przez blok faszystowski. Geograficzną rozciągłość tej walki określają takie nazwy, jak Narwik i Murmańsk na północy, teatr wojenny

w północnej Afryce i Morze Śródziemne na południe od Ojczyzny, Lenino i Azja Środkowa, Bliski Wschód, a na zachodzie akwen Atlantyku z Wielką Brytanią i kontynentalne kraje Europy. Do czerwca 1940 roku stanął żołnierz polski we Francji w liczbie około 85 tys., do czerwca 1941 r. w Wielkiej Brytanii około 35 tys., na 20 lipca 1944 roku na zachodnim teatrze działań wojennych około 120 tys., zaś Armia Polska w ZSRR liczyła wtedy 107 tys. żołnierzy i z bronią w ręku wkraczała do Ojczyzny, forsowała Bug.

W Dniu Zwycięstwa ludowe Wojsko Polskie liczyło około 400 tys., w tym blisko 200 tys. w „chwalebnej wyprawie Polaków na Berlin”, oraz blisko 200 tys. żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

W podziemiu wszystkich państw opanowanych przez blok faszystowski notujemy nazwiska Polaków, a liczne wychodźstwo w takich krajach, jak Francja, Belgia, Jugosławia, Czechosłowacja i Węgry, wytworzyło szereg własnych jednostek zbrojnych. Nie brakło Polaków w powstaniach: Słowaków i Francuzów w Paryżu latem 1944 roku.

Tę walkę Polaków utrwaliły, wydane w 60 krajach w okresie II wojny, druki polskie w liczbie 3 902 tytułów, z tego 3 249 w języku polskim.

Polacy w sposób zorganizowany uczestniczyli w większości wielkich operacji i bitew w zachodniej i północnej Europie, Afryce północnej, a od pamiętnego 12 października 1943 roku także na froncie wschodnim. Oto parę danych określających rozmiar tego uczestnictwa w powietrzu i na morzu: lotnicy zestrzelili 1 169 maszyn wroga, obezwładnili w powietrzu 190 pocisków V1, okręty przebyły 1 200 tys. mil morskich, uczestnicząc w 787 konwojach i 1 162 rejsach patrolowych oraz wielkich operacjach desantowych w Norwegii (1940), pod Dieppe (1942), w Afryce północnej (1942), na Sy-cylii (1943), w Normandii i południowej Francji (1944).

W granice III Rzeszy wkroczył żołnierz polski w dwóch związkach operacyjnych I i II Armii, w kilkudziesięciu związkach taktycznych, zbrojny w ponad 6 000 armat, 1 800 czołgów, 800 samolotów bojowych... Ten ostatni okres II wojny stanowił szczególnie doniosły akt historyczny poprzez udział Polaków w operacji berlińskiej frontów Armii Czerwonej i szturmie samego Berlina, w operacji wyzwolenia Pragi czeskiej, w pościgu operacyjnym I Dywizji Pancerniej (gen. St. Maczka) przez północno-zachodnie Niemcy do Wilhelms-

haven, do bazy hitlerowskiej Kriegsmarine... To były ostatnie akty tej wojny, aż do rubieży Łaby.

O jednym jednak trzeba wspomnieć trochę szerzej. 27 kwietnia w rejon walk w dzielnicy Berlińska Tiertgarten wprowadzona została 2 Brygada Artylerii Haubic ze składu I Armii i wsparła ogniem natarcie radzieckiej 2 Armii Panc. Gwardii. 2 BAH obłożyła ogniem rejon Goebelsa i Siemens Platz, kompleks szkoły oficerskiej i punkty oporu w Volkspark. Osiągnięto dzięki temu powodzenie i 30 kwietnia weszła tu do walki I Dywizja Piechoty, im. T. Kościuszki, uderzając na Charlottenburg, poprzez dalszą zabudowę Tiertgarten, ku Bramie Brandenburskiej i do gmachu Reichstagu. Niejako „po drodze” leżał Grosser Stern Platz z wyniosłą kolumną „Siegenssäule”. Potężna kolumna odlana została z żeliwa i spiżu po przetopieniu zdobytych na Francuzach armat i ustawiona w 1870 roku jako symbol zwycięstwa. Szczyt wieńczyła postać Victorii trzymająca w wyciągniętej ręce wieniec chwały dla tych, co powalili Francję i utworzyli pod wodzą Bismarcka Cesarstwo Niemieckie. Była ta kolumna drogowskazem w najnowszych dziejach Niemiec, drogowskazem ku nowym wojnom zaborczym...

W tym miejscu (dokładnie do bariery otaczającej postać bogini zwycięstwa) żołnierze 7 baterii 3 dywizjonu I pułku artylerii lekkiej z ppor. Mikołajem Troickim na czele przymocowali 2 maja biało-czerwony sztandar.

Trzeba byłoby, współcześni, z tych wszystkich miejsc bitewnych i tej ziemi nasiąkniętej krwią polską podnieśli nie tylko symbole bohaterstwa żołnierza, ale i te, w których motywacje polityczne owemu bohaterstwu nadały szczególne znaczenie: Lenino otwierał krótką drogę do Polski, przełamanie Wału Pomorskiego umożliwiło ślub z morzem i torowało dojście do Berlina, do zamknięcia tu zwycięskiej epopei żołnierza polskiego.

Historia bowiem pyta o sens działania, pytają o to też współcześni.

Trzeba, by w naszym szacunku dla poległych (w tym 2 958 poległych i zmarłych z ran żołnierzy I Armii walczących o Berlin), którzy szczególnie świadczą o wysiłku i ofiarach całego narodu, obok tradycyjnego patriotyzmu uczuciowego, znalazła się ta szczególna myśl — realistyczna ocena dziejowego sensu II wojny i polskiego wkładu w zwycięstwo.

Mieczysław Wieliczko

naturystyczna — jak mówiłem — kształtuje właściwe postawy względem płci przeciwnej. Dotyczy to również — jeśli nie przede wszystkim — dzieci i młodzieży. Kwestia płci nie traktowana jak tabu, jak duża sensacja, będzie uważana za rzecz zupełnie normalną, jak to, że śnieg jest biały. Tak wychowany młody człowiek jest niejako uodporniony na zgorzniecie. Będąc w tak zwanym trudnym wieku, nie będzie latał do kina na głupawe filmy tylko dlatego, że jakaś para pokazywana jest bez osłonek, nie dostanie wypieków na twarzy i będzie mógł spać spokojnie, gdy u kolegi przypadkiem zobaczy pornografię, nie wyda pieniędzy na „strip-tease”, przy wyborze partnera życiowego nie da się omamić walorami ciała, a patrzeć będzie raczej na walory ducha itd. Przypuszczam, że w przyszłości ta szkoła weźmie górę w wychowaniu.

— *Lubelscy naturyści też chcą mieć własną plażę. Padł projekt odgródnienia fragmentu Zalewu Zemborzyskiego. Jakie warunki powinno spełniać miejsce na „nagą” plażę?*

— Wszystko zależy od warunków naturalnych. W doskonałej sytuacji pod tym względem są np. olszynie, gdzie nad jeziorami funkcjonuje kilka plaż. Projekt odgródnienia zalewu nie jest posunięciem najszcześniejszym. Przecież nie chodzi tylko o opalanie czy kąpiel nago. Naturysta chce mieć bezpośredni kontakt z nie zakłóconą przyrodą. Za barierą czuły się jak w kłacie. Ale, powiadam, wszystko zależy od warunków. Lepiej chyba będzie wybrać inne miejsce, choćby dalej położone od Lublina, gdzie w pewnym odosobnieniu, bez przeszkód, będzie można obcować z nie zakłóconą naturą. Przy okazji chciałbym pozdrowić lubelskich naturystów i życzyć im powodzenia w staraniach o własną plażę.

— *A co pan powie przeciwnikom?*

— Przeważająca część pańskich pytań postawiona była z pozycji obiektywnego, lecz atakującego przeciwnika. Stąd pokazała część mojej wypowiedzi skierowana jest do przeciwników naturyzmu, służy uzasadnieniu czy obronie celowości naszego ruchu, jest usprawiedliwieniem wobec nich naszego istnienia. Naturyści obrzucają się częstokroć epitetami. My także możemy atakować, mamy do tego równe prawo i w zanadrzu podobny arsenał. Mogłem tak uczynić, przyznam — miałem na to wielką ochotę. Ale na tym traci rzeczowość dyskusji, o ile w ogóle do niej dochodzi. Bo przypominam — naturyzm w Polsce nie jest w stadium dyskusji, jest faktem.

Rozmawiał: Mirosław Zarzycki

Ani z marmuru ani z żelaza...

Dokończenie ze str. 1

Byłem zadowolony, zakład z perspektywami, a ja w nim pracuję. Zyska województwo, miasto, to i Graniczka.

Szósty dzień listopada 1951 roku to był początek w fabryce. W tym czasie mój brat był już w niej brygadziastą. Był szefem młodzieżowej brygady. Za okres od maja do listopada 1951 roku dostał Srebrny Krzyż Zasługi. Ludzie pracowali z wielkim zaangażowaniem. Robiło się dostojnie wszystko. Nie nie mogło leżeć nie zrobione, niczego nie odkładano na potem. Pod koniec 1951 roku zszedł z taśmy pierwszy „Lubinek”. To było prawdziwe święto! Pamiętam ludzkie swarze, twarze uśmiechnięte, takie jakiegoś pogodne.

Na samym początku pracowałem na wydziale urządzeń. Naszym zadaniem było montowanie we wznoszonych halach wszelkiego rodzaju konstrukcji, maszyn, zespołów. Ustawialiśmy cały sprzęt potrzebny do produkcji. Robota była ciężka, szybko się nie nudziła. W fabryce z miesiąca na miesiąc przybywało wydziałów i zakładów. Montaż, narzędziownia, kuźnia, odlewnia, resory. Jak sobie czasami pomyśle, ile wysiłku, wysiłku często aż do bólu mięśni, kosztowało wybudowanie tego wszystkiego... Od czasu do czasu odwiedzałem zakład i kolegów i wtedy coś mnie tak ścisła w dołku, że wszędzie jest kawałek mojej pracy. Pracy wykonywanej nierazko bez przerwy przez pięć, sześć dni. Bo plan, bo napięte terminy, bo wreszcie kraj czeka na samochody.

A mimo wszystko miałem jeszcze czas na dom, w 1953 ożeniłem się, na sport. Byłem bramkarzem drużyny piłkarskiej „Stal FSC”. O czternastej wychodziłem z fabryki, jadłem obiad, brałem walkę i na trening. Nie mogłem doczekać się każdej niedzieli. Zona przychodziła na mecz i o niczym innym wtedy nie myślałem, tylko jak by tu nie dać sobie strzelić gola. Starłem się być najlepszym piłkarzem na boisku.

W chwili rozpoczynania pracy w FSC to, ile zarobię, nie było dla mnie ważne. Zresztą nie tylko dla mnie. Wówczas ludzie jakoś nie pytali o pieniądze. Wystarczyło dobre słowo przełożonego, poklepanie po ramieniu. Jak robotnik czuł, że jego robota jest potrzebna, miał satysfakcję i chciał pracować. Utkwiło mi w pamięci zdanie, którym często zachęcano nas do jeszcze większego wysiłku. Mówiono — wy młodzi budujecie przyszłość dla swoich dzieci. Pracujcie dobrze, a im będzie żyło się lepiej. Minęły lata i słowa zostały słowami.

W fabryce nie dorobiłem się niczego. Nie umiem rozmawiać z synem. Wiem, że on mi w oczy tego nie powie, ale wiem doskonale, iż myśli — co ty stary zwojowałeś przez te lata? Orobiłeś się jak głupi osioł, a nie zarobiłeś nawet na skromny kąt dla mnie, ba, sam mieszkasz więcej niż skromnie. Przyznam, że boli mnie to wszystko. Przez trzydzieści lat pracy nie miałem ani jednej nieobecności, nie dostałem żad-



Fot. Tadeusz Brożek

nej nagany. Kierownictwo zawsze mnie chwaliło. I co z tego? Mam Srebrny Krzyż Zasługi. Cieszę się, bo jest to ważne odznaczenie.

Wszędzie tam, gdzie pracowałem, robota była ciężka. Kwaś, gaz, olej, smar, ciągłe brudno i niebezpieczeństwo. Do pracy w pełnej huku hali trzeba było długo przyzwyczajać. Umiejętność swobodnego poruszania się między maszynami to sztuka. Nabyłem ją w pełni po pięciu, sześciu latach pracy. Kiedy saulem się „samobobidzarem”

oną głową, co się zaczęło psuć. Rok 1956 i potem pamiętam dobrze. My — robotnicy zaczęliśmy być później lekceważeni. Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść. Początkowo nikt nie pytał o moje wykształcenie. Dawaj do roboty. Po kilku latach zaczęło na każdym kroku wypominać nam brak wykształcenia. Oczywiście nikt nawet nie próbował dociec dlaczego tak, a nie inaczej potoczyło się nasze życie. Mnie przeszkodziła wojna. Ale o tym już chyba mówiłem. Po prostu gdy któraś tam dyrekcja stacja mocno na nogach, a za jej przykładem średni dozór, prosił ludzi, robotnicy przestali być prawie z dnia na dzień potrzebni, okazało się szybko, że ludzi niezastąpionych naprawdę nie ma. Gdy odchodziłem z fabryki, dostałem dziesiątą grupę po upokarzających staraniach.

Tak sobie myślę, że przesiedzieć na jednym miejscu tyle lat to dużo. Nigdy nie miałem dość energii, aby pójść gdzie indziej. Był jednak taki moment, a właściwie okres czasu, gdy sytuacja była naprawdę paskudna. Byłem wówczas sekretarzem POP i OOP. Efektywność naszej pracy mierzono ilością zebranych pieniędzy ze skladek. Jak była odpowiednia suma, znaczyło to, że organizacja dobrze pracuje. Są to fakty powszechnie znane, ale wspominać o nich, gdyż słyszałem, że tu i ówdzie wraca się do takich praktyk.

Wielokrotnie mówiło się o modernizacji zakładu, uruchomieniu produkcji nowego samochodu. Postulaty załogi dochodziły do kierownictwa zakładu, a potem brały w łeb. Nie lubię wspominać czasów Gierka. Spotkania, przemówienia, sprawy pilne odkładane na później, odpowiedzialność za ciągłe błędy i potknięcia przerzucana z jednego ministra na drugiego. Ten właściwy był z reguły nieobecny. Wszystko to ile wpływało na załogę. Demoralizowało ją. Ludzie chcieli wiedzieć, co i jak. Jednak najlepszym lekarstwem na wszelkiego rodzaju zło było milczenie i w końcu zostało ono przerwane. Sierpień zrobił sporo porządku i trzeba o tym pamiętać. Często myślę, czy szary członkowie partii mieli jakikolwiek wpływ na to, co się stało? I naprawdę nie mogę sobie nie zarzucić. Zawsze ciężko i uczciwie pracowałem. Ale po latach dochodzę do wniosku, że nie zawsze było to najważniejsze i w cenie. Cwaniactwo, układy, a dajmy temu spokój...

Co tu dużo gadać. Nie przeobrażaniem życia, nie przestałem, a że jest tak, jak jest... Są mądrzejsi ode mnie. Fabryczny życiorys? Może i tak.

Notował: Artur Borkowski

kamena 9

W RAMACH eksportu myśli, w tym wypadku medycznej, lekarz Apollinary C. został zakwalifikowany na wyjazd do jednego z środkowoafrykańskich krajów. Fakt z punktu ekonomicznego wlicza atrakcyjny. Luksusowy samochód, konto dolarowe, widoki na wszystko, oczywiście, po powrocie do kraju. I byłby lekarz, grzecznościowo doktor C., zachwycony, że jego ciche starania uwieńczył pomyślny skutek, gdyby nie jedno „ale”. Kiedy ujawnił małżonce ową radosną nowinę, ta zamiast podskoczyć z radości do góry, postawiła stanowcze veto. Ona nie myśli na trzy lata zamykać się w dżungli. Co ona tam będzie robić? Nie zna języka. Nie będzie się mogła samodzielnie ruszyć. Jedyne więc jej zajęcie to zabawa z dzieckiem i czekanie na męża. Owszem, ona rozumie, że to złoty interes. Niech więc sobie szanowny małżonek jedzie. Ona w każdym razie zostaje.

Pokażny procent mężów pewnie by takowe stanowisko zaakceptował, nawet z ukrytą radością. Pan C. był

prosił kolegów o „spojrzenie na jego odcinek”, zasiadał w forda-mustangu i pedził jak szalony do bungalowu.

Wydawało im się, że o ich spotkaniach nikt nie wie. Tymczasem nawet wróble na dachu, a raczej kolibry na kokosowych palmach, o tym ćwierkały. Dowiedział się i małżonek. Zaczęły się awantury. Nagle najazdy domu. Groźby pod adresem żony, że ją odeśle do kraju, a pod adresem Carlosa, że złoży skargę do jego szefa, nad którego zdrowiem doktor C. też czuwał. Co w tej sytuacji zrobili zakochani? Carlos wziął urlop w swojej firmie, Irmina wzięła „urlop” od obowiązków żony, matki oraz gospodyni i wyjechała w niewiadome. Pan C. domyślił się, że żona świadomie wyjechała i z kim, niemniej zawiadomił policję o zaginięciu madame. Wszczęto poszukiwania. A że to niewiadome musiało zamykać się w granicach owego państwa, jako iż pan C. przeczornie schował żonie paszport, że białym tam nie tak znowu łatwo się ukryć, więc i „zaginioną” znaleziono dosyć szybko.

Miłość nie zna granic

Karol Stanis

jednak okrutnie zakochany, jego małżonka zaś młoda i wyjątkowo urodziwa i wcale, wcale temperamentna. Uznał, że zostawić ją na trzy lata samą, to zbyt ryzykowne. Zaczął więc pan Apollinary rozstracać radosną wizję wspólnego wyjazdu. Będzie zapewne dużo mniej pracował niż tutaj. Będą więc więcej razem. Będą usządzać ciekawe wycieczki. No i ubierze się jak paryżanka. Bo tam, jak w Paryżu, można dostać supereleganckie ciuchy i to znacznie taniej. Widocznie ten ostatni argument trafił pani C. do przekonania, bo trochę zmiękła. Ostatecznie stanęło, że on wyjedzie, urządzi mieszkanie, zbada warunki i wtedy ona dołączy.

Już po mie iacu nadszedł entuzjastyczny list. Piękny bungalow, boy do posług i w ogóle raj na ziemi, tyle, że trochę gorący. Spakowała więc pani Irmina walizki, ujęła córeczkę za rękę i via Paryż poszybowały w okolice równika. Obiecywany przez małżonka raj mocno ją rozczarował. Bungalow, owszem, był, ale kudy mu tam do luksusowego! Podłoga nie najszlachetniejsza, a z każdej szpary pchały się jakieś obrzydliwe mrówki. Moskitiery ani na chwilę uchylić, bo zaraz coś tam wlatywało. W dodatku nader często zdarzały się przerwy w dostawie prądu, a to już katastrofa, bo i brak lodu do „whisky and soda” i natychmiastowe psucie żywności. Boy do posług był, ale leniwy, gapowaty — może tylko takiego udawał — i pożytek z niego nie nadzwyczajny. Najgorsze zaś z tego wszystkiego, że męża widywała chyba rzadziej niż w kraju. Szpital, wizyty w terenie. Rano wychodził, a wracał o zmroku i tak zmęczony, że drzemał przy kolacji. Obawy pani doktorowej sprawdziły się więc w całej rozciągłości. Nudziła się jak przysłowiowy mops na łańcuchu. Wprawdzie było tam kilka europejskich rodzin, ale p. Irmina poza polskim i szkolnym rosyjskim ani be ani me.

I tu pan C. pospieszył żonie z pomocą. Na jednej z pobliskich budow pracował inżynier — Hiszpan, który nieco wcześniej z ramienia RFN-owskiej firmy przebywał trzy miesiące w Polsce i co nieco po naszymu bakał. Tegoż to inżyniera, o imieniu Carlos, pan C. zaprosił któregoś dnia na kolację. Przeklina ten pomysł i ten dzień do dzisiaj — doktor nie inżynier. Ostatnio podobno rzadko, ale też bywa, że dwoje ludzi, oczywiście odmiennej pici, zakochuje się od pierwszego wejrzenia. I właśnie taki miłosny czar owładnął Irminę z Carlosem. Od tego momentu doktorowa się nie nudziła. Carlos cudów dokonywał w pracy,

Wtedy Irmina oznajmiła — przez tłumacza — że ona wyjechała z dobrej woli. Na co C. złożył oświadczenie, iż madame C. porzuciła dziecko. W tym kraju to już przestępstwo. Ojcu jeszcze ujdzie, ale matce ani, ani. Zamknięto więc Irminę i Carlosa. Teraz doktor C. zaczął zabiegać, żeby uwolnić żonę. W sukurs pospieszyły obie ambasady. Obeszło się bez sprawy karnej. Tylko zarówno Irmina i Carlos otrzymali nakaz opuszczenia kraju w ciągu trzech dni. Doktor C. nie chciał żony puścić samej, a że przepracował już dostateczną ilość czasu, otrzymał urlop i razem z żoną oraz dzieckiem przejechali do Polski.

Może by się jakoś i ułożyło. Cóż, kiedy zakochany Carlos podążył w ślad za Irminą. Pan C. odłożył powrót do dewizowej pracy i pilnował domowego ogniska. Irmina wystąpiła o rozwód. Małżonek postawił stanowcze veto. Żonę kocha, zdradę jej wybacza i dla dobra dziecka chce utrzymać małżeństwo. Sąd oddalił pozew Irminy. W parę miesięcy później na świat przyszła druga córka. Irmina znowu wystąpiła o rozwód, podając, jako powód, fakt, iż ojcem dziecka jest Carlos, a ona go kocha, i tylko z nim chce żyć. Carlos potwierdził jej słowa.

Niestety, w myśl naszego prawa domniemywa się, że ojcem dziecka zrodzonego w małżeństwie jest małżonek. Dziewczynka została więc zapisana jako Iwona C. Pani Irmina wystąpiła do sądu o zaprzeczenie ojcostwa. Jej małżonek stanął przed sądem i kategorycznie stwierdził, że dziecko jest jego. A że mała była podobna do matki, nie do żadnego z tatusiów, że badanie krwi nie wykluczyło ojcostwa pana C., sąd oddalił wniosek pani Irminy o zaprzeczenie ojcostwa. Rewizja do Sądu Najwyższego, który uchyła wyrok sądu i instancji i kieruje sprawę do ponownego rozpoznania. Tym razem sąd i instancja dał wiarę dowodom przedłożonym przez matkę dziecka i uznał, że ojcem Iwonki jest Carlos. Z kolei rewizję wnosi pan C. Irmina nie czeka na wyrok, otrzymuje paszport i wraz z dzieckiem, tym młodszym, wyjeżdża do ukochanego. Nie, wcale nie jako jego żona. Ciągłe bowiem jest żoną doktora C. Sprawa rozwodowa została bowiem zawieszona do czasu prawomocnego orzeczenia. Kto jest ojcem małej Iwonki? Jest nadzieja, że z nim dziecko pójdzie do szkoły, będzie miało nazwisko i ojca, jeżeli nie faktycznego, to przynajmniej prawnego.

„Tygodnik Piski”

Krzyżówka nr 10 z szyfrem

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14		
15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	
30	31	32	33	34	35	36	37	38	39	40	41	42	43		
44	45	46	47	48	49	50	51	52	53	54	55	56			
57	58	59	60	61	62	63	64	65	66	67	68	69	70	71	
	72	73	74	75	76	77	78	79	80	81	82	83	84	85	
86	87	88	89	90	91	92	93	94	95	96	97	98	99		
100	101	102		103	104	105	106	107		108	109	110	111	112	
113	114	115	116	117	118	119	120	121	122	123	124		125	126	
127	128	129		130	131	132	133	134	135	136	137	138	139	140	141
142	143	144		145	146		147	148	149	150	151	152	153	154	
	155	156	157	158	159	160	161		162	163	164	165	166	167	168

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przemieścić do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać fragment książki współczesnego pisarza polskiego, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 11 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między słowami, a podwójne czarne — końcom zdań.
Wyrazy pomocnicze

1. początek ciasta na chleb — 93, 98, 163, 114, 80, 105, 22.
2. order, medal — 166, 6, 126, 58, 16, 36, 94, 12, 151, 5, 50.
3. dwusteczna dawna broń — 160, 87, 116, 162, 100.
4. chroni przed gorącem — 143, 122, 14, 24, 151, 86.
5. nie łowi się ryb przed nim — 10, 20, 33, 167, 56, 136.
6. brak aktywności — 26, 168, 88, 150, 119, 157, 153, 102.
7. kontrola w komorze celnej — 99, 21, 57, 32, 78, 158, 40.
8. wytworza przeciwciała — 3, 61, 76, 123, 17, 71, 81.
9. bliźniak kuzyn lososia — 118, 39, 135, 124.
10. do igły — 18, 23, 144.
11. miasto uniwersyteckie w USA — 127, 164, 128, 153.
12. burak z chrzanem — 134, 139, 129, 46, 66, 39.
13. znamie wypalone — 89, 8, 45, 49, 70, 138.
14. morderca — 2, 92, 63, 133, 72, 123, 28.
15. grzyzonie — szkodnik — 4, 104, 1, 7, 113, 77, 101.

16. w klatce piersiowej — 116, 134, 161, 82, 68, 103, 84, 60.
17. pięćdziesiąt lat — 132, 111, 13, 87, 71, 38.
18. miasto nad górną Wartą — 143, 33, 147, 44, 83, 51, 121, 50, 63.
19. łączy nartę z nogą — 108, 62, 42, 34, 52, 86, 107, 79.
20. by były zniwa — 43, 37, 9, 130.
21. miasto nad Jeziorakiem — 52, 112, 18, 156, 34.
22. przysłowiowy śpoch — 155, 23, 74, 149, 27.
23. ukochana Romea — 41, 13, 108, 149, 146.
24. państwo arabskie w Azji — 117, 48, 53, 143, 141.
25. zespół, gromada, skupisko — 68, 47, 64, 137, 95.
26. zimowy pojazd — 109, 67, 31, 120, 73.
27. jedynomyślność, brak konfliktu — 113, 29, 152, 142, 82.
28. indeks — 91, 76, 90, 163.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy za 500 zł.
Rozwiązanie krzyżówki — szyfrogramu nr 8
Przybył popatrzeć na tate, potem na mamę, a następnie sięgnął do kieszeni, wyjął z niej pieniądże otrzymane od taty, odliczył z nich dwieście złotych i wręczył je tacie.
— To ode mnie. Idź pan do knajpy i pij pan, przyjdź pan do domu później i bij pan.
Himelbach
„Mondlo”
Anna Kuczyńska, ul. Krańcowa 69, 20-336 Lublin.



Włoski astronom, Giovanni Schiaparelli, był kiedyś w Paryżu na przedstawieniu w słynnym kabarecie „Folies Bergeres”. Po spektaklu przedstawiono mu primabalerinę teatru.

— Czuję się szczęśliwa — zawołała tancerka — że poznałam tak znakomitego człowieka!

— Szczęście jest raczej po mojej stronie — odparł skromnie astronom. — Proszę sobie wyobrazić, jakie wrażenie w świecie nauki wywoła wieść, że astronomowi udało się z tak bliska oglądać gwiazdę.

Królewskie Towarzystwo Medyczne w Londynie padło kiedyś ofiarą żartu, z którego śmiała się cała Anglia. Znany chirurg, doktor Hill, posłał Towarzystwu komunikat następującej treści: „Młynarz złamał nogę. Wezwany do niego, obmyłem nogę, sklepiłem i zabandażowałem, po czym obwiązałem sznurkiem. Po dwóch dniach młynarz był wyleczony”.

Członkowie Towarzystwa podzielili się na dwa obozy. Jedni uznawali skuteczność nowatorskiego zabiegu, drudzy uważali, iż to niemożliwe. Po paru dniach doktor Hill wysłał drugi list: „Zapomniałem dodać, że noga młynarza była drewniana”.

Wysperal: Ryszard Dunin

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kocplowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Biepiet (fotoreporter), Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie skróty w sprawach literackich przyjmując interesantów kierownik działu w piątek w godz. 14-18.
Wydawca: Bohemisz Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 233-10.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PEWN w Lublinie, ul. Dulcka 4.
Adres redakcji: 20-950 Lublin, ul. Skłodowskiej 47.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 233-93, sekretarz redakcji 215-33, dział publicystyki i literacki 275-25.
Korespondencje prosimy kierować pod adresem 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, pociągami i ekspresami — pod adresem redakcji.
PL ISSN 0137-1108, Nr indeksu 16231.

PUNKKI

Autorka tego tekstu jest uczennicą jednej ze szkół średnich w woj. lubelskim. W swojej miejscowości zetknęła się ze środowiskiem punków, z którymi przeprowadziła rozmowę. Oczywiście, niektóre poglądy wyrażone w rozmowie mogą się wydać infantylne czy szokujące, ale publikujemy te wypowiedzi w przekonaniu, że zanim się postawi diagnozę zjawisku, w pierwszej kolejności należy próbować je rozpoznać.

(Red.)

Cała prawda o nas

NIE należy traktować tego tekstu jako formy gloryfikacji patologii społecznej (bo takie opinie słyszy się o podobnych wypowiedziach). Nie chcę także robić pewnego rodzaju reklamy punkom. Po prostu jest to riposta na utarte obiegowe opinie o punkach. Przeważnie o nich wypowiadają się ludzie niezbyt zorientowani w ich sprawach. Wygląda to zupełnie jak dyskusja dwóch murarzy o pracy dentysty.

Pozwólm, by każdy mógł zaprezentować się na łamach legalnej prasy. Właśnie legalnej! Zawsze, jeżeli brak szansy ukazania własnego „ja” w „państwowej” gazecie, szuka się tej możliwości w tajnych piśmiennikach. Trzeba, niestety, pogodzić się z myślą, że często słyszymy co innego, niż chcielibyśmy słyszeć. Młodość to bunt przeciw rzeczywistości. Różne formy tego buntu obserwowaliśmy na przestrzeni dziejów. Zawsze inicjatywa należała do młodych. Oni zawsze czuli się uwolnionymi z obowiązku holdowania pewnym stosunkom i znajomościom, nie liczyli się z widokami materialnych korzyści, wypowiadali swoje przekonania otwarcie, nie lekali się sądu i kontroli. Aby ich zrozumieć, należy wysłuchać, o co im chodzi. Nie wolno z góry potępiać.

Często słyszymy skargi rodziców na brak kontaktu z dorastającymi dziećmi. Czy pamiętają, że lekceważyli ich głosy o wątpliwościach? Brak zainteresowania ze strony „starych” spowodował bunt. Często bunt objawiany w niewłaściwy sposób. A może to „niewłaściwe” ma jakiś sens? Przecież dorosli reagują tylko na to, co ich naprawdę zszokuje. Stąd „bierze się” próba zaszokowania świata oryginalnym ubiorem, fryzurą i poglądami. Niestety, stąd też agresja jako chęć pokazania „co to ja”. Dlatego na świecie jest tylu hippiesów, poppersów, gitowców i punków. Widzimy tylko zewnętrzne przejawy protestu, nie zastanawiając się nad przyczynami.

Myślę, że warto zapoznać się z wypowiedziami przedstawicieli jednej z grup zbuntowanych. Moją rozmówcą to 19-letni chłopiec. Określał się mianem „autentycznego punka”. Potwierdza to ich wygląd. Nastrożona włosy (na krem do zolenia), czarne, skórzane kurtki, nabite ćwiekami, miniaturka flagi USA przytwierdzona do kurtki (dobrze żyć w Ameryce), statysgowane spodnie (przejaw buntu przeciw udręczającej modzie) i trochę „biżuterii” („pieszczochy”, kolczyki) oraz czerwona chustka pod szyją (na wzór gangsterów) — to najbardziej rzuca się w oczy. Wcale nie wyglądają na wygrybanych ze śmietnika.

— Przedstawcie się.
— Mara.
— Dolar — jednocześnie wskazują na rękaw. Na tle czarnej skóry widnieją utworzone z ćwieków litery OWP.
— Co oznacza ten skrót?
— oddziały wyskrobanych plodów (koniecznie małe litery).
— Oryginalna nazwa.
— Nie wysilaliśmy się na oryginalność. Ale myślę, że nazwa mówi, za kogo się uważamy.
— Za wyrzutków społeczeństwa. Śmieci. Własnymi postaciami chcemy zademonstrować światu cały dorobek ludzkości.
— Cel waszego istnienia już znam. A ideologia?
— Nie ma ideologii w ścisłym tego słowa znaczeniu. Po prostu chcemy żyć jak punki.
— Jak jest punk?
— Zbuntowany.
— Nie podoba nam się rzeczywistość. Znikła nasza wiara w wpajane nam w dzieciństwie ideały. Chcemy wskazać ludziom nowy model życia. Pokazać im, że istnieje inny niż dotychczasowe wzorce postępowania.
— Jednocześnie nie chcemy zbawiać tego świata ani nim kierować. Po prostu możemy egzystować jako tzw. państwo w państwie.
— Czy dużo jest was w M.?
— Proporcjonalnie, w stosunku do liczby młodzieży, nie stanowimy zbyt licznej grupy. Zresztą nie zależy nam na ilości.
— Dużo jest pseudopunków. Utrzymują z nami normalne kontakty, ale są za bardzo uzależnieni od otoczenia. Dlatego nie można ich zaliczyć do autentycznych punków.
— A dziewczyny?
— Punkówny!
— Dużo. Ale to zupełnie zrozumiałe. Często, przyłączając do nas, mają z tego korzyści.
— Chcą zwrócić na siebie uwagę.
— ???
— Tak. Przybywa taka szara istota do M. Nikt jej nie zauważa. Jak temu zaradzić? Przejechać się jakimś ekstrawagantem — odpada z przyczyn obiektywnych zaszokować ludzi ekstrawaganckim ubiorem — brak odwagi, zwrócić na siebie uwagę w inny sposób — brak pomysłu. Ale jest wyjście: pokazać się w mieście w towarzystwie punka to sposób na popularność, a przynajmniej zainteresowanie.

— Czy są z nimi kłopoty?
— Tak, ale zdarzają się sytuacje komiczne.
— Przeważnie dziewczę zmieni fryzurę i usiłuje złapać z nami kontakt przez kogoś pośredniego. Łapiemy ją gdzieś na ulicy i ona zarumieniona wyjawia, że „chce się zapisać do punków”. Kiedyś taką kandydatkę na punkównę zrobiliśmy w kolumnie. Kazaliśmy jej przynieść podanie, życiorys, świadectwo ukończenia VIII kl., kartę szczepień,

prześwietlenie klatki piersiowej. Naiwna uwierzyła i jeszcze zapytała o „chrzest”. Przejęci rolą, wymyśliliśmy już narzędzia tortur, ale zlekka się i nie przysłała.

— Z tego wniosek, że żadnego zapisywania się i pasowania punka nie ma?

— Oczywiście. Do nas się przyłącza.

— Jednocześnie zdając sobie sprawę dlaczego. Często dziewczyna „zakochana” w jednym z nas przyłącza do punków, nie mając zielonego pojęcia o nas.

— Czy wiadomo, że wśród was jest „ćpun”, skreśla go z waszej paczki?

— Absolutnie. U nas obowiązuje wolność. Każdy robi, co chce. Nie mamy ambicji, by pozować na grupę haterzy. Nie chcemy na siłę wbić komuś określonych norm postępowania.

— Akceptujemy go takim, jaki jest.

— Czy wobec tego nie obawiacie się, że w oczach otoczenia będziecie bandą z marginesu?

— Nie obchodzi nas reakcja otoczenia.

— Zresztą nie jest tak źle. Dziwne, ale nie ciągną do nas „ćpuni”. W naszej paczce, w swoim gronie, też nie bierzemy narkotyków, a więc nie „sprowadzamy młodzieży na złą drogę”. Jest to czysto osobista sprawa każdego punka. W każdym środowisku znajdują się amatorzy oszalamiania się. U nas występują te same proporcje.

— To samo dotyczy alkoholu.

— Jeden z was zadziiera nosa. Co wtedy?

— Nikt nie może się wywyższać. Jeśli zaistnieje taka sytuacja, wówczas prosto w oczy rąbiemy, co nam się nie podoba. Później — zależnie od reakcji. Najczęściej „ambitny” unosi się honorem i odbija.

— Jeden z was załamał się psychicznie. Czy może liczyć na pomoc z waszej strony?

— Nie pchamy się z buciurami w intymną sferę. W miarę możliwości staramy się zbadać przyczyny kłopotów i zlikwidować je.

— Przede wszystkim jednak wybijamy mu z głowy samobójstwo.

— Idealne społeczeństwo, czyli jak sobie wyobrażacie świat punków?

— Typowa anarchia. Brak rygorów. Równość.

— Coś w stylu społeczeństwa ludzi pierwotnych.

— Przecież to utopia. Czy taki świat może istnieć w obecnych czasach? Myślę, że przypominałby on kolchoz w potocznym tego słowa znaczeniu.

— Wszyscy uważają, że to niemożliwe. I właśnie tym różnimy się od ogółu.

— Nam wystarczy, gdy zaspokoimy swoje podstawowe potrzeby. Nie mamy ambicji zdobywania dóbr materialnych.

— Z tego wynika chyba niezbyt przyjazny stosunek do ludzi ze szmałem?

— Przede wszystkim nie imponują nam ich pieniądze, zdobyte często w nieuczciwy sposób.

— Dążymy do tego, by zatarły się różnice w poziomie życia.

— Wywodzicie się z różnych rodzin. Nie każe go stać nawet na podstawowy element ubioru punka — czarną, skózaną kurtkę (około 25 tys. zł).

— Przecież nie jest ona obowiązkowa. Równie dobrze można nosić obszerną marynarkę lub zwykłą kurtkę. Tolerujemy punków bez skórzanej kurtki.

— W jakich państwach można spotkać punka?

— USA, RFN, Wielka Brytania — to główne skupiska. W mniejszych ilościach punki istnieją we wszystkich państwach zachodnich. Co do wschodu, nie mamy rozeznania.

— Naprawdę to zależy nam, by nie było żadnych granic państwowych. Wówczas mówiliby się o punkach na kuli ziemskiej.

— Wcześniej już wspominaliśmy, że podzielamy zdanie dziewiętnastowiecznych anarchistów. Protestujemy przeciwko wszystkiemu, co składa się na państwo, a więc milicja, sejm, wojsko.

— Reakcja otoczenia (przełożonych, profesorów, znajomych) na wasze ubiory, fryzurę, zachowanie?

— Otwarcie wprost nie czepiają się. Mówią o nas poza plecami.

— Ich zdaniem, wszystko, co najgorsze, to dzieło punka. Ot, taka sytuacja. Zwiłło ze szkoły pięćdziesiąt osób. Potem poleciała szyba. Profesorowie uznali, że to sprawa punków. Wyrzucili z budy dwiema osobami (mnie też) za zachowanie. Teraz też nie spotykam się z aprobatą. Gdy idę w mundurze leśnika, ludzie odpowiadają na „dzień dobry”. Jak jestem w czarnej skórce, udają, że mnie nie widzą.

— W mojej budzie nastąpiła pewna poprawa. Początkowo były docinki ze strony profesorów. Obecnie panuje milczenie. Wyjątek to dyskusja z pewnym profesorem. Myślę, że po tych sporach nie uważa mnie za półgłówka. Przekonał się, że zdaje sobie sprawę dlaczego postępuję tak, a nie inaczej. To już jest coś. Można to nazwać rehabilitacją.

— Często prasa obwinia was o wszczynanie bójek. Ile w tym prawdy?

— Prawdziwy punk nigdy nie zaczyna bójek. A że innych prowokuje nasz wygląd, to inna sprawa.

— Nas można porównać do jagnięcia w skórce wilka.

— Muzyka w waszym życiu?

— Punk nie istnieje bez muzyki.

— Słuchając naszych piosenek, można się wiele dowiedzieć o naszym życiu. Często traktujemy piosenki jako życiowy program. Wyrażają one nasze uczucia. Przeważnie mówią o buncie przeciw szarej, monotonnej rzeczywistości.

— Lubimy teksty proste, bez efektownych sloganów. Dlatego taką popularnością wśród nas cieszą się zespoły: Dezserter, WC, Szambo, Zwłoki, Kryzys czy Nocne szczyry, chociaż poziom artystyczny tych zespołów nie jest, prawdę mówiąc, zbyt wysoki.

— Kiedy tylko nadarzy się okazja, szalejemy na koncertach. Obowiązuje nas taniec pogo. Wprawdzie sprawia wrażenie groźnego, ale to tylko złudzenie. Jeszcze nikomu nie wyrządził szkody.

— Słuchamy też klasyki zagranicznej. Najbardziej do nas dociera gra zespołów: The Sex Pistols, Crass, Clash, Exmail Deutschland, The Dead Kennedys. Części słów nie rozumiemy, ale czujemy rytm.

— Denerwuje nas, gdy o naszych sprawach pisze tekściarz za trzydziestkę. Najlepsze teksty wychodzą spod pióra ludzi młodych.

— Czy utrzymujecie jakieś kontakty z waszymi idolami?

— Nie używamy słowa „idol”. Kojarzy nam się ono z jakąś pretensjonalną gwiazdą. Dla nas chłopak grający w zespole jest jednym z nas. Utrzymuje normalne kontakty z punkami.

— Wasze rozrywki?

— Tak jak każdy: film, sport, muzyka i szereg innych, zależnie od człowieka. Dodatkowo gra w marynarza.

— Słyszałam, że z sympatią odnosicie się do kotów. Czy to prawda?

— Kot to indywidualista, chodzi własnymi ścieżkami, a więc posiada zbliżone cechy do punka.

— Kiedyś mówiło się o człowieku, że nad nim historia i Bóg. Czy to samo można powiedzieć o was?

— My nie uznajemy Boga.

— Ludzie wymyślili sobie Boga, bo szukają jakiegoś oparcia. Jeśli człowiek czuje się zagubiony, każdy go zawiódł, sądzi, że Bóg go pocieszy. Każdą poprawę sytuacji przypisuje Bogu, a zło traktuje jako przejściowe.

— Człowiek to istota, która szuka kogoś idealnego i wymyśliła Boga.

— Naszym zdaniem, nic nie wskazuje na to, że istnieje Bóg.

— Co chcecie jeszcze powiedzieć?

— O naszym stosunku do wojny. Przyszła wojna kojarzy nam się z wybuchem bomby. Nietrudno wyobrazić sobie świat po eksplozji bomby. Cała kula ziemską usiana rozkładającymi się trupami. Ci, którzy cudem ocalają, na sam widok bliźnich nabawiają się choroby psychicznej.

— Wojna jest podobno nieunikniona, ale należy przestrzec przed tą absurdalną samozagładą.

— Teraz jest was wielu, spotykacie się z aprobatą młodzieży. Jak wyglądały początki?

— Początkowo obserwowaliśmy świat. Zauważaliśmy różne ugrupowania. Jednak nie odpowiadało nam zachowanie hippiesów i poppersów, ani ich sposób patrzenia na świat. I wtedy na horyzoncie pojawili się punki. Okres zafascynowania — i przyłączyliśmy się do nich. Już przedtem zmieniliśmy fryzurę i ubiór, aby upodobnić się do punka.

— Wasz stosunek do szpanerów chyba nie jest zbyt wrogi?

— Sami na początku byliśmy szpanerami, nie możemy więc ich potępiać. Myślę, że naśladowanie punków to kwestia mody. Pamiętasz, jak kiedyś każdy rzucił się na bawelnianą podkoszulki. Nie dziwię się, że teraz tak dużo osób na ulicy przypomina punków. Młodość potrzebuje urozmaicenia.

— Z czasem część z nich przyłączyła do nas, reszta się wykruszyła. Zmienił wygląd zgodnie z modą, która później nastąpiła.

— Jesteśmy wobec tych ludzi wyrozumiali. Denerwuje nas tylko prowokacja z ich strony. Spokojnych szpanerów po prostu tolerujemy.

— Wiele w was sprzecznosci. Chociażby pochwała życia w Ameryce i pragnienie anarchii.

— Rzeczywiście, sami nie wiemy, czego chcemy. Nie mamy żadnych ambicji. Nikt nie liczy się z naszym zdaniem. Z całą pewnością nie zmienimy świata, a więc co kogo mogą obchodzić nasze pragnienia. Ot, śmieć bez przyszłości.

— Skąd ten brak wiary we własne możliwości?

— Tacy już jesteśmy.

— Dziękuję wam za rozmowę.

— To my dziękujemy za poświęcenie nam uwagi.

Rozmawiała: Marzena Olek